

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 21 KWIETNIA 1928 ROKU

NR 17

TREŚĆ NUMERU: Dlaczego się nie rozumiemy? — *Natalja Jastrzębska*. Nowa psychologia i nowa pedagogika — *Irena Pannenkowa*. Placówki — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Wieczór“, „Psyche“, „Trzy cnoty“ — *Tadeusz Zajaczkowski*. Chryzantes i Darja (c. d.) — *Z. Reutt-Witkowska*. Inteligentka — *Z. Zalewska*. Wlastimil Hofmann — *Witold Buniłowicz*. Z życia muzycznego — *P. L. Z teatrów* — *S. P. O.* Rzecz najważniejsza — *Wanda Borudzka*. Tytułomanki — *I. Sezon wiosenny w sporcie* — *M. Chemja w kuchni* — *Inżynier Tadeusz Ingwer*. Odżywianie w jadłodajniach — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Dodatek: „Mody i roboty: Kapelusze — *Well*. Czepeczek haftowany. Dwa woreczki. Dodatek powieściowy: „Niewolnicy“ — *Monteiro Lobato* — przekład z portugalskiego *J. Świerczewskiej*. Arkusz wzorów.

DLACZEGO SIĘ NIE ROZUMIEMY?

Jednym z tematów, o którym dużo mówi się obecnie i który stanowi poważną troskę wielu rodzin, jest rozdźwięk między starszym, a młodszym pokoleniem, między rodzicami i dziećmi.

Moralisci „starego autoramentu“ rozdierają szaty nad tym objawem, przypisując go, naturalnie, zepsuciu młodzieży w słowach nieraz tak nieracjonalnych i... nieparlamentarnych, iż nie można zbyt dziwić się tejże młodzieży, że odnosi się do tych krytyk niezyczliwie i nieufnie.

Ludzie rozsądniejsi, niezakrepli w doktrynie z przed pół wieku, pamiętający trochę psychikę własnej młodości, a idący duchowo z postępem czasu i jego nieprzełamanych wymogów, starają się rozważyć bezstronnie ten objaw i wniknąć w jego przyczyny.

I oni jednak stają nieraz bezradnie wobec trudnego problemu — dlaczego z miłych, rozkosznych dzieci, dobrze chowanych, otaczanych staranną opieką kochających rodziców, pieszczonych pociech — wyrastają, z chwilą dojścia do pewnych lat, obojętni egoiści, nie dzielący z tymi ukochanymi niedawno rodzicami niczego, prócz wspólnego mieszkania, lub funduszów, wymagający od nich tylko wysiłków na swe ubranie, zabawę i przygotowanie do kariery życiowej, a nie dający im wzajemian ani szczerego uczucia, ani pieszczoty i zaufania; przeciwnie — zamykający przed nimi swe przeżycia, opinie i plany, nie dopuszczając ich zupełnie do swego życia?

Czy jest to objaw czasów obecnych tylko — czy istniał on i dawniej?

Zapewne, że zawsze potrochu tak było. Zależy to jednak ogromnie od warunków danej epoki. Jeżeli w latach, które upłynęły między wzrostem jednego pokolenia, ogólne warunki życiowe i obyczaje zmieniły się mało, wtedy starsze i młodsze pokolenie nie różni się od siebie zbyt i godzi się lepiej. Jeżeli nastąpiły gwałtowne wstrząsy i przewartościowania teorii i warunków życiowych — jest przeciwnie.

Obecnie mamy właśnie tę drugą ewentualność. Cały sposób życia po wojnie zmienił się tak zasadniczo, że między młodymi nawet względnie rodzicami, a dziećmi ich, urodzonymi na parę lat przed wojną, obecnie dorosłymi, legła olbrzymia przemiana społeczna i obyczajowa, taka, jaka dawniej byłaby możliwa zaledwie między kilku pokoleniami.

A jakże się do tej przemiany odnosi starsze pokolenie, w którego oczach ona się dokonała?

Jeżeli obserwujemy bacznie i jesteśmy bezstronni — musimy przyznać, że naogół nawet przychylnie.

Poza ludźmi bardzo już podeszłymi w latach, należącymi raczej do dawniejszych znacznie czasów, poza specjalnymi jakimiś hipochondrykami i moralistami o „spojrzeniu kota, —“ młodzi rodzice uznają swobodę młodego pokolenia, nie gorszą się koleżeńskim obcowaniem młodzieży, jej samodzielniemi zabawami, spacerami, znajomościami i t. p. Dopomagają dzieciom wszystkimi środkami do zdobycia wiedzy i prowadzenia takiego trybu życia, jakiego wymaga własne ich upodobanie i panujące zwyczaje.

I jest to zupełnie naturalne. Choć inaczej chowani w młodości, przeżyli jednak sami przemiany, ja-

kie dokonały się w ostatnich latach, i rozumieją ich konieczność.

A jednak nie mogą zrozumieć własnych dzieci.

Nie mogą uchwycić często ani tego punktu zwrotnego, od którego ukochane pieszczochy stają się nagle coraz bardziej obojętnymi, obcymi, dorosłymi osobami, różniącemi się w każdym niemal zdaniu, krytykującemi jeśli nie słowem, to całym zachowaniem ich postępowanie, lekceważącemi ich zdanie, niedopuszczającemi ich do swych dusz,—ani zrozumieć przyczyn tego dziwnego i bolesnego zjawiska.

Oddają przecież dzieciom całe serce, poświęcają się dla nich, pracują, pozwalają im na wszystkie zachcianki, godzą się z ich przekonaniem, nie wymagając dla siebie nic, prócz miłości i zaufania, prócz zrozumienia tego faktu, że ojciec i matka są najbliższymi osobami!

A tymczasem córka zwierza się tylko przyjaciółkom, tylko w ich towarzystwie jest wesoła i serdeczna. Tylko do nich dąży, tylko ich zdanie jest dla niej miarodajne. W domu przebywa chwilki, zmęczona, znudzona, na dłuższą rozmowę z matką nie mając czasu, ani ochoty.

Syn taksamo rozumie życie tylko w gronie kolegów, z nimi tylko tworzy plany życia, pod ich wpływem podejmuje najważniejsze postanowienia.

Każde z dzieci, z chwilą, gdy dorasta—a chwila ta przychodzi dziś bardzo wcześnie, nieraz doprawdy zawczasie, — żyje tylko sobą i dla siebie.

I nie mówię tu o jakichś wybrykach karygodnych—te należą do zupełnie innej kategorii zjawisk—ale o normalnym i dobrem życiu młodzieży, które jednak jest dla rodziców, dla ich wpływu i wiadomości nawet nieraz, zupełnie zamknięte.

Dlaczego tak się dzieje i kto tu jest winien?

Niestety! śmiem twierdzić, że nie młodzież.

Zapewne istnieją wśród niej egoiści, lub osobniki, tak porwane wirem życia, że nie widzą nic prócz niego i siebie w niem. Ale to są wyjątki.

Rodzice to przeważnie sami, zaślepieni miłością do dzieci, widzą w nich właśnie ciągle dzieci, które wypieścili, ale już nie potrafią współżyć z ludźmi, którzy z tych dzieci wyrosli.

A jak wyrosli, czyli jak zostali wychowani?

Otóż to! tu leży pierwsza przyczyna nieporozumienia.

W wieku naszym, który zaczął się, jako „wiek dziecka“, stanęły dzieci nietylko na pierwszym, ale wprost na jedynym planie życia.

Zaczęło się to już dosyć dawno i trwa do dziś.

Przyjrzyjmy się rodzinie, w której są dzieci, od malutkich do kilku i kilkunastolatków.

Czy rodzice są sami, czy są goście — dzieci są zawsze głównymi osobami: ciągle się do nich i o nich mówi, chwali się je w oczy i za oczy, wysuwa nieustannie w rozmowie ich zdolności, spryt, inteligencję, nawet (o, zgrozo!) urodę, opowiada do znudzenia o

ich nadzwyczajnych powiedzeniach i sprytnych postępkach. Mówi się o tem tak ciągle i do wszystkich, że przedostaje się to do dzieci zawsze, nawet gdy wypadkiem nie były przy tem obecne.

Dalej mówi się przy dzieciach wszystko o starszych, krytykuje się i podważa wszystkie autorytety.

Czy możemy się potem dziwić, że dziecko, jako najwyższy i jedyny autorytet, uzna siebie? Dziecko, które jest niesłuchanie bystre, czujne, i wystarczy nieraz jeden gest nieuchwytny, wyraz oczu matki, aby doskonale zrozumiało, o co chodzi.

Cóż dziwnego, że w tej atmosferze ciągłego, rozgłaszanego uwielbienia i zachwytów dziecko, im starsze, tem więcej umacnia się w przekonaniu, że ono jest dla rodziców ośrodkiem świata i że jest jakąś osobistością, która — jak słońce — ma tylko promieniować swoim blaskiem!

Naturalnie z chwilą dorobienia przychodzi rozum; stosunki z innymi, obcymi ludźmi, ścierają pychę i zarozumialstwo w stosunku do tych innych; ale rodzice pozostali ci sami, kochający i oddani, im więc wybujały i wyhodowany przez nich samych egoizm i przekonanie o własnej wartości dzieci objawia się w całej pełni.

Jakto? więc trzeba nawrócić do dawnej surowości, chować dzieci starym systemem kar, grozy, unikać pochwał, wyrzec się pieszczot?!

Niech Bóg broni! Tylko nie mówić bezustanku o dzieciach, nie głośić, aż do znudzenia i zmordowania wszystkich, ich pochwał, nie opowiadać tysiące razy o ich nadzwyczajnej mądrości i dowcipie! Czuć je i chować, jako pierwsze, w swych sercach, ale nie robić z nich pierwszych w domu.

Ramy krótkiego artykułu nie pozwalają na obszernie wskazówki pedagogiczne, znaleźć je zresztą — i bardzo dobre — jest łatwo, ale każdy inteligentny człowiek zrozumie, że można chować dzieci najtroskliwiej, otaczać je najstaranniejszą opieką, nawet najczulej pieścić, a pomimo tego utrzymać je w karności i na właściwym dzieciom w domu miejscu.

Z tak chowanych dzieci nie wyrosną napewno egoiści.

To jedna część zadania i, niestety, dla wielu rodziców dziś już dorosłych dzieci—spóźniona!

Ale jest i druga, równie ważna.

To odczucie tego właśnie momentu, w którym nasze ukochane maleństwo jest już dorosłym człowiekiem, i zastosowanie się do tego.

Nie bronimy naszym dzieciom samodzielności, towarzystwa, zabawy i t. p., ale nie bierzemy udziału w tem ich nowym życiu. Zaabsorbowani swojemi pracami, kłopotami lub nawet życiem towarzyskiem i rozrywkami, jakże często nie potrafimy zainteresować się pierwszymi właśnie krokami naszych młodych dorosłych! Słuchamy z roztargnieniem, a często z niecierpliwością o ich nowych znajomych, krzywimy się na różne projekty, nie wnikamy w przyczyny tego

lub owego zainteresowania. Denerwujemy się urojonymi często niebezpieczeństwami dla ich zdrowia lub przyszłości. Nie chce się nam wziąć pełnego udziału w tem nowem, młodem życiu.

Nie zapomnę, jak jedna moja znajoma rzekła do mnie:—Przyjdę do pani jutro po południu, bo właśnie moja córka zaprosiła swoje koleżanki; cóż ja mam z niemi robić? znudziłabym się tylko!

Tu znów ojciec, dowiedziawszy się przypadkiem, że syn jego ma sprawę honorową, nie posiadał się z oburzenia, ale gdy zapytałam go: — Czy pan nigdy nie był w tem położeniu? — Cóż znowu! biłem się kilka razy za studenckich czasów. — A więc? — Tak, ale dlaczego on mi o tem nie powiedział? — A czy pan zna przyczyny, warunki, etc.? — Ale gdzież tam! czyż ja mam czas na to?

I tak dalej, i tak dalej. Traktując dzieci ciągle jako małe, ukochane istoty, nie stajemy obok nich

i z niemi do nowego ich życia. Wymagamy zaufania, ale nie dajemy zainteresowania i udziału.

Jeżeli nawet uznajemy ich samodzielne życie, traktujemy je, jako coś oddzielnego od nas, trochę dziecinnego i niewartego zastanowienia. I to w najlepszym razie: jeśli nie krytykujemy, lub nie obrażamy się.

A potem dziwi nas, że młodzi bardzo szybko odseparują od nas to całe swoje istnienie, któremu nie zdołaliśmy poświęcić odrazu dostatecznej uwagi.

Jeżeli to uczynimy, jeżeli razem z naszymi dorastającymi dziećmi zaczniemy sami żyć ich życiem, zajmując się i przejmując niem więcej, niż sprytem Jureczka, lub minkami Zosi, gdy mieli pięć lat,— zostaniemy napewno najmiłszymi przyjaciółmi i towarzyszącami pracy i każdej myśli naszych dzieci—ludzi.

Natalja Jastrzębska.

IRENA PANNENKOWA

NOWA PSYCHOLOGJA I NOWA PEDAGOGIKA

Psychoanaliza jako czynnik wychowawczy

Dr. Zygmunt Ziembiński przetłumaczył z angielskiego książkę G. H. Greena: „Psychoanaliza w szkole“, godną szczególnej uwagi ze względu na to, że przedstawia możliwości pedagogicznego zastosowania t. zw. psychoanalizy Freuda, Junga i ich szkoły.

Psychoanaliza jest to metoda leczenia pewnych chorób i zaburzeń nerwowych. Opiera się ona na teorii, że nasze życie psychiczne dzieli się na świadome i nieświadome, i że pewne wstrząśnienia, czy wogóle przeżycia mogą być stłumione i wyparte ze świadomości, czyli „zapomniane“ (z powodu wstydu, obawy i t. p.), a jednak istnieć dalej w nieświadomości i wyrażać się w postaci zupełnie innej, zamaskowanej, często niepożądanego dla moralnego i fizycznego zdrowia danej jednostki. Leczenie polega na wywołaniu w świadomości pacjenta „zapomnianej“ przyczyny zaburzenia i przewyciężeniu jej przez uznanie jej małego albo żadnego w gruncie znaczenia.

Dokonać tego tem łatwiej, że—wedle teorii psychoanalitycznej—te wstrząśnienia pochodzą przeważnie z dzieciństwa, czasem bardzo wczesnego. Zapadły one w nieświadomość wraz z ówczesną, dziecinną oceną ich znaczenia, zupełnie, oczywiście, niewspółmierną z punktem widzenia jednostki starszej.

Teorja psychoanalityczna budzi różne zasadnicze wątpliwości. Przedewszystkiem rozszerza ona po nad możliwą do przyjęcia miarę sferę seksualności w ży-

ciu ludzkim, sama zaś metoda zdaje się operować w znacznej mierze sugestją. Przypominam sobie wykład Junga, który słyszałam raz na kongresie pedagogicznym w Brukseli. Jung opowiadał o przebiegu kuracji psychoanalitycznej, jaką przeprowadził na pewnej dziewczynce. Cichy, jednostajny, trochę uroczysty głos mówcy, pewna jakby tajemniczość w sposobie poruszania i przedstawiania sprawy — wywoływały szczególne wrażenie — cała sala była jakby pod wrażeniem sugestji. Mimowoli nasuwała się złośliwa myśl, że tym fascynującym głosem i sposobem zachowania się możnaby, w dziecku zwłaszcza, wywołać wspomnienie nie tylko tego, co kiedyś przeżyło, ale i wielu rzeczy, których nie przeżyło nigdy.

Pomimo jednak wszelkich niezbędnych zastrzeżeń krytycznych stwierdzić trzeba, że psychoanaliza operuje dziś mnóstwem faktów dokonanego wyleczenia, nad któremi, jak również nad ich uzasadnieniem psychologicznem, nie można przejść do porządku.

Chodzi o to, że rodzice i wychowawcy skłonni są nie doceniać psychicznego znaczenia pierwszych lat życia dziecka. Aż nadto często mniema się, że dziecko wtedy jest raczej małym zwierzątkiem, które niewiele myśli, czuje, cierpi (w znaczeniu psychicznem), a to, co odczuwa i przeżywa — i tak szybko zapomina, i śladu z tego nie zostaje w życiu późniejszym. Otóż tu właśnie tkwi gruby błąd. P. Green w książce, o której mowa, opowiada cały szereg bardzo zajmu-

ących wypadków, z których wynika, że wiele zaburzeń i nienormalności w postawie psychicznej wobec życia i zachowania się młodzieży, i nawet osób dorosłych, ma źródło w „zapomnianych” przeżyciach wczesnego dzieciństwa.

Chodzi o to, że wrażliwość wtedy jest niezmiernie silna, tylko zdolność do przedmiotowej oceny jest słaba, lub brak jej wogóle, i właśnie dlatego tem silniejsze są wrażenia. Stąd, stwierdza Green, to pewne jakby rozczarowanie, które towarzyszy nam w miarę wyrastania z dzieciństwa i jego złudzeń cudownych; stąd aureola uczuciowa, jaką skłonni jesteśmy je otaczać potem. Mówiąc o tem, Green przytacza następujący poetycki, przesliczny istotnie ustęp z Wordswortha:

„Urodzenie nasze jest tylko zaśnięciem i zapomnieniem. Dusza nasza, która tu z nami wschodzi, jako gwiazda naszego życia, gdzieś indziej miała swój zachód, przybywa zdaleka: od Boga, Który jest naszym gniazdem. Przychodzimy nie w całkowitej niepamięci, ani też w zupełnej nagości: niebo jest wkoło nas, gdy jesteśmy dziećmi.”

I ten drugi:

„Dziecino mała! gdy jesteś jeszcze w chwale z niebios zrodzonej swobody, na szczycie bytu swego, czemuż tak usilnie kusisz płynące lata, by ci przyniosły nieuchronne jarzmo? czemu tak naoslep idziesz naprzekór swemu szczęściu? Aż nazbyt rychło dusza twa otrzyma swój ziemski ciężar: więzy obyczaju zaciążą na tobie, gniotące jak mróz, a głębokie, jak samo życie!”

Jest coś, co zdaje się wiązać z tą poetycką wizją dzieciństwa. Każda matka, oddana swemu dziecku, wie np., że dziecko w pierwszych tygodniach i miesiącach życia zwykło się we śnie od czasu do czasu uśmiechać. Ten uśmiech jest istotnie wzruszający i piękny. Ludzie prości mówią, że dziecko wtedy jeszcze „rozmawia z aniołami”. Po paru miesiącach to znika: dziecko zaczyna już „rozmawiać z rzeczywistością”.

Otóż sposób poznawania się z tą rzeczywistością, wrażenia, odbierane w pierwszym dzieciństwie, mają zwykle ogromne znaczenie dla wyrobienia się zasadniczej postawy psychicznej. Jeśli więc w ciągu pierwszych lat życia—zwykle w ciągu pierwszych trzech lat, ale i później—dziecko dozna jakiegoś silnego upokorzenia, jeśli zbyt dotkliwie odczuje swoją słabość, swoją bezsilność, niższość wobec szorstkiego i bezwzględnego otoczenia—wtedy przez całe życie może pozostawać „pod wpływem nieświadomego wspomnienia o tych przeżyciach”. Wtedy człowiek albo będzie chętnie uciekał od rzeczywistości, zatapiał się w czytaniu, czy w marzeniach na jawie, albo będzie raczej uciekał od swoich myśli, będzie wiele ruszał się, mówił wiele i chaotycznie działał. Pierwszy typ otrzymał nazwę intrawertyka, drugi — ekstrawertyka. W szkole—pierwszy jest zatopiony w sobie, cichy,

często „obecny, a nieprzytomny”, nieśmiały, trudny do rozruszania. Drugi—to taki, którego „wszędzie pełno”, ciągle coś mówi, ciągle w ruchu, „wrywa się” nieustannie; jako dorosły, także wiecznie się krząta, o wszystko się troszczy i ma nawet pewną formułę dla uzasadnienia wątpliwej potrzeby tych nieustannych zabiegów: „Bo ktoś to przecież musi zrobić!” Otóż zarówno przesadna bierność pierwszego, jak przesadna aktywność drugiego jest chorobliwa: wynika z nieopanowanego stosunku do rzeczywistości.

— Ekstrawertyk — powiada Green—przypomina więźnia, który tłucze, jak oszalały, o drzwi więzienia... intrawertyk siedzi... i stara się zapomnieć, że więzienie istnieje, lub snuje niezwykle plany ucieczki, których jednak nie usiłuje nawet wprowadzać w czyn.

Zadaniem wychowania jest w tych wypadkach skierowywać planowe myślenie i działanie tych jednostek w kierunku upośledzonym przez wyrobione w nich skłonności—czego jednak nigdy nie dokona się w drodze prawienia morałów i kazań.

Ażeby dać pojęcie o tem, czem jest psychoanaliza, zastosowana w praktyce, przytoczę tu jeden z bardzo wielu, opowiedzianych przez Greena—fakt następujący:

Pewien mężczyzna dorosły czuł chorobliwy lęk i wstręt do osób o niebieskich oczach pewnego odcienia, zwłaszcza kobiet. Co gorsza, miewał często sny, w których doznawał przykrych upokorzeń od osób z takimi oczami. Zwrócił się więc do psychoanalizy. Napróżno na jego polecenie usiłował te oczy wydobyć ze wspomnień swego dzieciństwa. Zapytano matkę, jak wyglądała jego niania. Okazało się, że miała oczy piwne. Między innymi przypomniał sobie potem, że gdy był w szkółce początkowej, nauczycielka za rozmawianie w czasie lekcji kazała mu stać na krześle z zawieszonym na szyi kawałkiem czerwonej flaneli, wyciętym w kształcie ogromnego języka. To go silnie dotknęło. Ale zapominał o tem wkrótce, i tylko rodzice od czasu do czasu mu to przypominali. Jak ta nauczycielka wyglądała, nie pamiętał zupełnie. I dopiero teraz matka stwierdziła, że miała ona właśnie oczy koloru, który go przesładował tak zawzięcie. Uświadomiwszy sobie ten związek, wyleczył się ze swej psychozy. Jednej z najbliższych nocy śniło mu się, że miał proces sądowy z kobietą o oczach tego koloru i wygrał go. Odtąd oczy te nie śniły mu się już nigdy.

Jakiegokolwiek nasuwać się tu mogą uwagi krytyczne — nowa psychologia i, między innymi, psychoanaliza ma to wielkie znaczenie, że 1) zwraca uwagę na doniosłość pierwszorzędną okresu pierwszego dzieciństwa i okresu dojrzewania i uczy pojmovać ich objawy, 2) każe zajmować wobec dzieci postawę nie sędziego i egzekutora, ale dobrego przyjaciela i rozumnego lekarza. Nawet higienisty raczej, niż lekarza. Postawę, wzorowaną na Tym, który mówił: „Pozwólcie dzieciom przyjść do mnie”...

M. H. SZPYRKÓWNA

PLACÓWKI

Wieleż razy i jak serdecznie żałuję, że słowo pisane jest tylko drukiem! Że nie może być odrazu głosem, mówiącym w żywym, gorącym, nieudolnym może, ale przecież zawsze bliższym sercu, niż druk, słowie! Że radjo jest tak wiele szczęśliwsze odemnie, bo przez tysiącstrunne, między niebem, a ziemią rozpięte głośniki, przemówić może odrazu do jakichś milionów serc, do jakichś milionów myśli, do całej rzeszy niewidzialnych, ale przecież obecnych słuchaczy! I dla sprawy, która zjada duszę, sfermentować wielkie masy. Najmisterniejsze słowo pozostawia je najczęściej pod chwilowem tylko wrażeniem.

Bo, oczywiście, mam sprawę, która od jakiegoś czasu przeżera mię nieustępliwie i wytrwale, i muszę coś z nią począć, aby... odemnie odeszła! Muszę ją widocznie komuś zawierzyć! Muszę z pewnością zgromadzić jakieś gremium, któreby podołało zadaniu, dla mnie samej nie do podniesienia. A które jednak podnieść trzeba!

Trafiły mi do rąk dokumenty polskie z dalekich — o Boże, jakże dalekich! — Chin. Z Mandżurji. Z Mongolji. Z Charbinu najwięcej, bo jest ośrodkiem polaków. Dokumenty nie do mnie, oczywiście, nadesłane, a dla projektowanego zjazdu wychodźstwa, który się nie odbył. I oto leżą, czekając. I właśnie, właśnie, ponieważ nie są głośnikami, tylko słowem, zakutem w ołów czcionki: — milczą. Gdyby nie to, wołałyby! Krzyczałyby, szeptałyby, modliły się i płakały. Jak radjo chwyta dźwięk, nadany za morzem, a który jednak jest i w naszym salonie w Europie: tak i płacz, tak i skarga, nadana dwa wieki nawet wstecz, trwa i dziś, — tylko trzeba radja, któreby ją umiało schwytać. Koło tych dokumentów drży niewidzialny płacz stuleci: nietylko tych, żyjących tam dziś, ale i ojców ich i dziadów — którzy tam umierali.

Czy skarżą się?

Ach, nie! Są to rzeczowe raporty, pisane przez inżynierów, nauczycieli, fachowców i zasadniczo członków Polonji naszej na Dalekim Wschodzie. Ale to właśnie jest okropne. Mało jestem skłonna do egzaltacji w życiu. Jednak przed tymi ludźmi chciałabym uderzyć, jak to się powiada, czołem. Jakież szalony ogrom mrówczej, burzonej butem bolszewika, mongola, a nieraz i brata — pracy! Jaki bezmiar wysiłku, mierzącego istotnie siły na zamiary — bo zamiary te musiały stać się czynem, aby zachować Polsce polaków, którzy inaczej byliby japończykami, chińczykami, bolszewikami, czy internacjonalistami! I jaka beznadziejna samotność, tysięcmilowe oddalenie od wszelkiego źródła polskości, które tu oto, u nas, bije ży-

wem sercem, w którym tu oto, u nas, jesteśmy tak pogrążeni, że go niemal nie czujemy już wcale, jak człowiek nie widzi mgły, będąc w środku mgły!..

O, za prędko, za łatwośmy się przyzwyczaili do szczęścia posiadania polskiej Polski!

Może trzeba powiedzieć zresztą inaczej. Może trzeba powiedzieć: Za prędkośmy zapomnieli o tych, którzy zostali poza jej nawiasem?..

Bo, powiedzmy szczerze: kto i wiele z pośród nas myśli o emigracji? Mamy urzędy, więc pozostawiliśmy troskę o nią urzędowi. Ale urząd to jest zawsze jedna porcja stawy, do której się ciśnie sto zgłodniałych rąk! Ktoś coś dostanie, ale wielu odejdzie z niczem?! Ale wielu odejdzie gorzej, niż z niczem — bo z gorzkim żalem, że oto tak im się dzieje, chociaż Polska — jest?!

Możnaby o tem pisać tomy, a mam tylko dwie szpalty, a czytelnicy mają tylko jedną cierpliwość. Więc przechodzę ponad wieloma rzeczami i uderzam wprost w jeden — nie! jeden z wielu — dzwonów!

Przedtem — jeszcze słowo. Nie mogę bez szczególnego wzruszenia czytać relacji samopomocniczych wysiłków Polonji chińskiej. Są, jak jedna rodzina, z której ten się nazywa szkołka początkowa, ten — T-wo. Dobroczyńności, inny — Związek Harcerzy, jeszcze inny — ochronka i bursa dla biednych dzieci (któreż tam są bogate?!.) A jest i matka, wszystko to gromadząca u siebie: Gospoda Polska! I najstarsze, ukochane dziecko: gimnazjum im. H. Sienkiewicza, chluba i duma Charbińskiej kolonji — gimnazjum, prowadzone — tam! — z programem naszych polskich szkół. I najmłodsze, zagrożone maleństwo — bursa, utrzymująca się z zasiłków doraźnych, a więc nigdy jutra niepewna. Wszystko to mieści się jaknajbliżej razem, dzieli pomiędzy siebie chleb, nadsyłany z ojczyzny, a to, czego nie starcza, dorabia wspólnem sobie odejmowaniem na korzyść ogólną. Ach, naprawdę! Trzeba nam widocznie, aby było źle, bo wtedy dopiero uczymy się stać dobrymi! Dopiero zdaleka od matki zaczynamy się czuć siostrami i braćmi i skupiamy w jedną rodzinę!

Wyobraźmy więc sobie tamten kraj. Dziwaczne pagody i różnokolorowe kimona, giełdę wszechnarodową anglików, amerykańców, francuzów, niemców i japończyków, nie mówiąc o chińskim gospodarzu kraju. Wyobraźmy sobie świątynie tajemniczych bożków na pograniczu Chin i pijackie bluźnierstwo bolszewickiej bezświątynności. Postawmy się w środku wielorakich sekt, odszczepieństw i aberacji, do jakich długoletnie wynarodowienie ludzi doprowadza. I w środku tego garstkę, kilkutysięczną już dziś za ledwie, po-

laków, rozsianych na wielkich przestrzeniach, ze skupiskiem głównym w Charbinie. Bezpieńszą rzeszę, przybyłą po chleb, porzuconą przez falę wojenną, albo zdawna osiadłą na tych wielkich rubieżach, gdy działo się tam lepiej — a dziś odciętą od kraju, jak przywiązany do słupa jeniec, który daremnie wyciąga ręce za ostatnim okrętem do ojczyzny.

Nie! Nie wyciągali w beczynnej rozpaczach tych rąk za długo! Zakasali rękawów — i zaczęli budować polski dom, aby przetrwać czas wygnania. Czy dziwne będzie, że tym pierwszym polskim domem był... kościół?.. A dopiero z niego, jak z najgłębszego osierdzia ducha, zaczęły się stopniowo wywijać, ogniskować i tworzyć inne, materialne ośrodki — z Gospodą Polską na czele. Nie było jeszcze wtedy Polski niepodległej, nie było konsulatów, nie było nic: był tylko niezłomny hart ducha i ślepe, mocne, jak śmierć, przywiązanie do polskości. Polskości, którą — podległą, czy nie: trzeba było zachować — bezwzględnie, nade wszystko i pod grozą sądu sumienia.

Dla kogóż, skoro nadzieja na powrót niejednemu nawet nie przyświecała?

Dla — dzieci.

I oto dla tych dzieci: maleńkich japończyków pod Japonją, maleńkich chińczyków pod Chinami, maleńkich moskali pod moskalem: a zawsze polskich z wiary i — jakiej była, to była: mowy; dla tych dzieci robotniczych, urzędniczych, wszelakich; dla tych dzieci, których rodzice na płatną szkołę nie mieli i na czas odpolszczenia ich także: dla nich kilkunastu czy kilkudziesięciu światlejszych myślą i sercem inteligentów poczęło budować — i zbudowało — szkołę polską! I przedszkole, i ochronkę, i szkołkę, i bursę, i wreszcie — gimnazjum, które doczekało już tego szczęścia, że rząd polski łoży na parę pensyj nauczycielskich, aby siły były fachowe. Ale słuchać sprawozdań z trudu ich utrzymania teraz, kiedy wzmożona przez napływ wojenny fala polskości znów odpłynęła i pozostawiła tamtą garstkę niejako na mieliźnie, to — słuchać dziejów jakiejś syzyfowej pracy, to — czuć żal, wstyd, wzruszenie i bunt, i — wreszcie — przekonanie, że coś dla nich zrobić się musi!

Coś — nie na miarę tytanów zapewne, ale na naszą — kobiecą — codzienną i skuteczniejszą od bohaterów czynów miarę przez to, że dyktuje je — macierzyńskie dla każdego opuszczenia serce. Tak

straszenie, tak bezgranicznie są tam sami i odcięci, za tą ogromną Bolszewją, która się położyła między nimi a Polską, jak zły wilk, i połyka po drodze wszystko, co mogłoby być strawą! A czy bez strawy długo jeszcze mogą żyć?..

Czytamy:

...Dziś (r. 1928) wiele dzieci uczęszcza znowu do szkół bezpłatnych rosyjskich i sekciarskich, i zapobiec temu nasza uboga szkołka nie jest w stanie. Opłata za naukę zamożniejszych dzieci nie może pokryć najskromniejszych nawet pensyj nauczycielskich, a gdzież remont? Opał? Pomoce naukowe? Oddziały drugi i trzeci mieszczą się w źle ogrzanej i oświetlonej sali parafjalnej (50 uczni), a oddział 1-szy dla małych dzieci (20-tu) ma zimny, północno-zachodni pokój. I jakże jaskrawo to odbija od bezpłatnych, świetnie urządzonych i uposażonych szkół sowieckich lub metodystów, które nam odbierają dziatwę siłą rzeczy?!

„Skromne pensje nauczycielskie“... Czytamy, że p. Brudzeńska, nauczycielka tej szkołki, przez dwa lata prowadziła ją bezpłatnie, zarabiając na życie lekcjami!

Drogie pani! Czy będzie szaleństwem projekt, jaki mam? Poszczególnie nie możemy zdziałać wiele — ale w jednośi siła! Spróbujmy! Co, gdyby czytelniczki „Bluszczu“ wzięły na utrzymanie bodaj jedną klasę takiej szkoły na Dalekim Wschodzie? Tak niewiele potrzeba, a potrzeba tak koniecznie i jak najprędzej! Zanim to do nich dotrze! Powiedzmy, złotówka miesięcznie zrobiłaby pięćset złotych, gdyby znalazło się tyle właśnie serc, które się odezwą! Spróbujmy!

W Warszawie istnieje t. zw. „Opieka Polska“ (nad Rodakami na obczyźnie), instytucja specjalnie niedolą wychodzącą się zajmująca (Krakowskie Przedm. 6 m. 11 a).

Ktokolwiek usłyszy ten mój mały głos i wzmocni go wielością własnego serca: niech tam nadeśle swój grosz na obronę naszej najdalej, najbezbronniejszej placówki, znacząc: Składka czytelniczek „Bluszczu“ na szkołę w Charbinie. Pieniądze są najłatwiejsze do przesłania. Ale może ktoś podda inną myśl, lepszą i skuteczniejszą? Może zaoferuje książki szkolne, biblioteczki, zwykłe książki polskie? Pisma? Wycinanki, obrazki, wszystko, co polskiemu dziecku na Dalekim Wschodzie może o Polsce dać pojęcie? Kołaczę do serc, które jeszcze żadnej sprawy nie zawiodły: coś z tego początku musi być!



TADEUSZ ZAJĄCZKOWSKI

WIECZÓR

Przeszedł dzień — obojętny przechodzień —
 ślady na śniegu.
 Tak wczoraj, dzisiaj, jutro i codzień —
 w milczącym biegu.
 Księżyc — puszysty ptak na nieboskłonie:
 srebro na strzechy.
 Dla kogoż były twe tęskniące dłonie
 i twe uśmiechy,
 już nie pamiętam, lecz jeszcze wierzę —
 ogień zwycięży!
 (W pustym kościele pod świętym Jerzym
 smoki i węże).
 Na drogi, pola, kościoły, domy
 legną szkarłaty.
 Choć niemy, głuchy i niewidomy —
 będę skrzydlaty!

PSYCHE

Niebo dziś modre, jak myśli —
 jak myśli jasne o szczęściu.
 Na twoje spotkanie wyszłę
 usta i sny me dziewczęce.
 Czekam i drżący profil
 kładę na lazur płynny...
 Skrami twych spojrzeń mnie opal,
 Ukradzionemi u innej.
 Chcę słońca, pragnę ciepła,
 ust twoich łaknę waru...
 odtając chęć — zakrzepła —
 od zrenic twych pożaru.
 Bo wiem: kiedy pożoga
 ust rozpłomienisz lazur,
 odnajdę w życiu drogę
 bez słów i drogowskazów.

TRZY CNOTY

Gdyby przelopić w tyglu czerwców żółte skwary,
 a zaprawić księżycą lipcem ogień ciekły —
 możeby z tego można było posąg wiary
 odlać, na szponach czasu, co ją w noc wywlekły.

I gdyby zebrać wicher, co przez wyże wieje
 i pyłem blasków w przestrzeń międzygwiezdą prószy,
 można go napiąć w wolę i sprężyć w nadzieję,
 co tysiąc gwiazd zapali i tysiąc poruszy.

Ale wiem: wyblakł księżyc, skrzepły słońca wary,
 a wicher z grobów wieje próchnem zgniłych kości —
 tylko jeszcze w ruinach nadziei i wiary
 rosą nikiłe łodyżki naiwnej miłości.



Z. REUTT-WITKOWSKA

4

CHRYZANTES I DARJA

Z CYKLU „HESTJA”

Młokosik on zgniły—kto zacz był? Zmieniony, sączący się przez zęby ściśnięte głos... takiego tu nie pamięta. Oczy nieznane, jarzące... ach, nie! pamięta błysk podobny z za plec senatora... Jakoż go zwa, Arabczyka: Marcipor?!

O świecie wróci Chryzant.

Smutkiem poraz pierwszy powita, łzami gorzkimi zapłonie:

— Nie mówiłabym ci... jeno mi tak wszystko zło minione stanęło przed oczy. Mniemałam się tu przepieczną...

Słów mu tych zasię przeciwko niemu nie powtórzy; ani podejrzeń swych niesłusznych, kto wie? Lepkie, cuchnące słowa przeciw krasie gwiazd. A jakoż nie przebaczyć bezmocnej ślepotcie?

Zblednie Chryzant. Nie rzekła mu. W nim przecie wstręt poszepnie jakowys: Marcipor, ojcowy ulubieniec. A tego jej wszak, siostrzyczce smutnej, nie powie. Mniemała się od błota na wieki przepieczna.

— Trzeba, iżbym cię ślubem ślubił, a za małżonkę w oczach świata pojął, Darjo.

* * *

Pasterz dłonie im wiązał.

Tyle, że w uczcie oboje uczestniczyć musieli weselej, jako widzący pomiędzy ślepemi.

Zaspiewali pieśń świętą ze starcem i harfiarką, jako co dnia bywało — i rozeszli się w jasności serc zwyczajnej.

Ale szatan, który stawa na przeszkodzie wszelkiej miłości i jako lew ryczący krąży, szukając, kogoby pożarł, nie znalazłszy niskąd przystępu do onych świętych małżonków, sprawił, iż od zewnątrz znowu przysłała bieda.

Stałci nieopodal Polemjuszowego domostwa, u węgła ulicy, Herkulesa posąg prastary — wielce stary, gdy od pocałunków mnóstwa, któremi go usta wiernych pozdrawiać były zwykły, zjedzone już miał dobrze nogi, kolana oraz brodę wielką, maczugę zaś czas obłupał ręką własną.

Otóż wydarzyło się temi dniami, iż nabożnisz pewien, Faustynjan z imienia, z tych, co podle bram janusowych za stołem bielwiarskim siadają, z nabożności tej okrutnej, czyli też z żądzy sławy dobrej, bo wnet o tem głośno zagadali, brodę posągu, a maczugę pięknie wyzlócić kazał, stóp zasię i kolanek nadprawić.

Czyn ów tedy przykładowy ściągając pocznie większe coraz tłumy, aby Herkulesowi onemu, co snadź sztuki dochodów pomnażania świadom, cześć oddały powinny. Już tu oto rozłożą się z taborkiem swym

kapłani Wielkiej Matki Idejskiej, tłumowi z siebie, a ze skruchy swej widowisko dawać, dyscyplinkami ciała swe siekąc i głosem wielkim grzechy swe wykrzykując pod wtór bębneków, dzwonek — pstrzy, bielidłem, a barwiczką lice mając szkaradne: chciwi datku. Spodełba na Fanatyków Bellony patrzą, kapłanów czarnych, co ciała swe w tańcu szalonym kalecząc, krew na uczniów z miseczek małych, tarcz kształtem utworzonych, bryzgali... biorąc datki.

Tu wnet cukiernik adipata, smalcem nasiąkłe, przedawać pocznie, tu mleczarz się z wózkiem zatrzyma. Kupujący, żakowie, nabożni. Zgiełk jeden, co aż w ogrodzie Polemjuszowe zaziera, psalmodję onych mącający. Nad miarę tem smutna Darja. — Ku Bogu Jedynemu sercem obrócona, bałwochwalczym obrzędem nierada.

— Cierpliwością nową rość musisz, siostrzyczko; Pan zwycięży.

— Tak... jeno mi się znów tak bardzo przeszłe wspomina. Myślałam, iżem tu pod skrzydłami twemi od światowych ocalona tumultów.

Zasmucają się dwoje. Poczem się przed Polemjuszem udadzą, z harfiarką i starcem wraz, bo zachciał wieczora tego Polemjusz, by przed nim dziwne ono powtórzyli śpiewanie, którem, wedle opowiastek Marcipora, samotrzeć się raczą.

...Słuchał Polemjusz. W dłoni miękkiej nieruchomości powoli ambra.

* * *

Wreszcie i noc zapadła najciemniejsza.

Za progi Polemjuszowe lekką stopą wybiera się; w płaszczu brunatnym ku Herkulesowi się zwróci...

A nie widział ów, że chwilę wprzód murem ześlizgnął się, a ku Herkulesowemu zagajnikowi pospieszył w brunatnej odzieży ktoś.

Ów, co szedł pierwszy, w gaju dwie insze napotkał postacie, a nim na rozmowę półgłosną się wazą — czwartego, nieproszonego dojrzą i do drzew przywrą milczeniem.

Czwarty, nie lękający się zdrady, znak dziwny od czoła do piersi, a od ramienia lewego ku prawemu dłonią prawą czyni... z pod płaszczu toporu dobywa, a Herkulesa na bój wyzywa. Nie zratuje maczuga potężna, suto złocona. Runie z nożem kamiennym w ciemność. Napastnik raz wraz go jeszcze tego po barkach roztoczystych, po lędźwiach zwięzłych, a po kolanach gładzonych tłucze. Topór schowa. Odejdzie w mrok, ciszę.

— Korneljuszu, widziałeś, ktoby był?

— Chryzantes, pana twego syn, zda mi się, Marciporze...

— I ja tak trzymam, ilem go wedle nowych tabern czy forum Wespazjanowego spotykać i poznać mógł...—dokończy trzeci.

— Słuszna, Faustynjanie; a nie zubożyciłeś cię on, to pewna, kret ziemny, ani też pan mój, bo nad was wszystkich razem, janusowych, głowę na karku ma!

— I jakoż Persowi granic wschodnich nie nałazić, Germaninowi od północy nie walić się, gdy tak oto senatorowice lekce sobie ważą, co lud czcił.. — zaperzy się setnik.

— Gorsza, Korneljuszu. Krzyżowi się ów kłania. Nienawiść to, nie lekkomyślność. Przed Celerynem jutro świadczyć będziem. Christiani non sint! — Hm Szkoda, że ci jednakowoż figla takowego spletał, Faustynjanie. Koszt znaczny!

— Ba! nie szkodzi; snadniej odwalim cokół... a tam, widno, skarb nasz ukryty, ile rozumiesz sen swój...

— Eskulapowa niezawodna wyrocznia!

— Dwu przyjaciół najzaufańszych weź, a pod złoconem najdziesz złoto. Ryjcież co żywo! poświęcę... Jeno pod, albo-li też przed?..

— Mniejsza. Tu i tam ryc będziem.

— A jeśliby się kto nadarzył jeszcze?

— W łeb go! — mruknie Korneljusz.

— A jeśli kto równie znaczny?

— Głowy nie zawracaj, Marciporze!

Zasuną się łopaty z dzwonem tępym, wedle cokołu.

* * *

Nazajutrz zasię wezwał Celeryn przed sąd swój Chryzantesa i Darję, a świadkowie dwaj postronni przyświadczą, iż go widzieli, co sprawił, o co z małżonką wraz pomówion.

Zaprzećby się mógł senatorowic na wstyd onym. Jeno, że im Herkulesowi ofiarę składać wraz każą, a ci zasię: „Nie! i nie!“ jakgdyby im świat ten niemili.

Gniewa się sędzia. Powrozami je mokremi wiązać każe i do ciemnego zamknąć lochu, wprzód na urągawisko ciernie im za posłanie rzucając.

A łoża nie dzielili byli aż do nocy onej.

Sercem jednym jedną zaśpiewali Panu pieśń, iż możny jest, a miłosierdzie Jego bez miary.

Poczem zaś na łoża ono zlegli, jako gołąbiat dwoje w gniazdku matczynem, dobrem.

O północy straż budzić ich wpadła wołaniem, bo oto światłość zapłonęła w ciemnicy, a zdało się, gdy w okienko, słońcem jaśniejące, zajrzali, iż na posłaniu róż złotych i bardzo lśniących spoczywają więźnie—a woń jeszcze róż unosiła się na powietrzu, choć w ciemność rzucili się już strażnikowie, a nie ocknęli się śpiący.

Mocno bo i przezpieczno na Sercu Bożem spali—co zdradza lekkie ich, równe oddechanie.

W noc tę długo zasnąć nie mógł senator Polemjusz. Ewodja od lat trzydziestu raz pierwszy nie

grała do snu: z Namphamem karcer dzieli. Cierpi febrę Marcipor.

Zasnąć nie mógł Polemjusz. Gdy zaś go na chwilę sen zmorzy, dojdzie go jakoby śpiewanie owo wieczorne dziwne, a nie już pod harfy jednej wtór, a niby harf wiele słyhać grających. Więc z granem wraz przeniknie pancierz lepki, bardzo ciężki, ni to jakowaś tęsknota za synem, już oto nie śpiewać mającym w domostwie. Kochał bo gęźbę senator.

...Róż także jakoby woń wielka tłoczy się: [nie-spokój, niedosyt... a za szczęściem jakoweś nieprze-czuwane dotąd rozglądanie się, z mdłością borykają się.

A tóż słońce wschodzi w atrium? — z Ogniskaby niewielkiego blask takowy?!

Ocknie się Polemjusz, a za posłem ku zapamię-tańcom dwójgu rozejrzy się wtem.

— Namphama rozkuć! Ewodję! Oboje tu!

Skoczą-ć, co go strzegli. Oto majaczy już popielaty człeczyna u progu; a jakgdyby gład dźwigał na barkach, skurczył się, nogami powłóczy; jeno oczy ma w blasku.

— Namphamo... idź! zwiedz się... co zamierzają z onymi... wiesz?... idź!!

Harfiarce znak da zwyczajny; ku ambrze swej ściągnie śpieszno dłoń drżąca.

* * *

Rano zaś obudziwszy się małżonkowie śpiew dalej śpiewać poczęli; a mężowie pogańscy, przechodząc koło więzienia, stawali, aby posłuchać i dziwowali się podziwieniem wielkiem.

Z ojcowym rozmawiali się posłem.

Celeryn zasię sędzia, wyrokiem Numerjana cesarza, co na perską właśnie gotował się wyprawę, oboje za miasto wywiózłszy i na drodze Salaryjskiej dół wielki wykopawszy, żywo je zagrześć i kamieniami zawalić kazał: pomiędzy grobami tych, co się Zniczowi sprzeniewierzyły—cudzołożne westalki.

W on dół, gdy Chryzantes i Darja ze śpiewaniem weszli, ziemię na nich zewsząd sypać poczęto. A objąwszy się serdecznie, w słońcu jasnym płonące mając złote i kędziorne głowy, na głos radości wielkiej bardzo wzmogli się, a ziemia cicha i szara pomiędzy usta ich legła, zanimby czas miały pierwszym splugawić się pocałunkiem.

...Co wszystko tedy Namphamo na oczy własne ujrzawszy, ku wezgiłowiu pańskiemu popielatym szedł cieniem, w rękę ciernia mając onego więziennego po nich garsteczkę, włosów obojga pasmo.

Uderzy wtem w struny Ewodja i zmiłknie: łzami zapłacz.

Słońce zaś poprzez uchylenie zapory uczyni ów kędzior wielce złotym.

Ocknie się z drętwy Polemjusz, a jakoby myśl senną kończąc, zapyta:

— Szczęścież mi przynosisz, Namphamo?

K O N I E C

Z. ZALESKA

INTELGENTKA

— Wobec wyczerpania materiału i niemożności sprowadzenia „takowego“, kantor od pierwszego zamykamy. Niech pani zawczasu szuka drugiej posady, bo to teraz tru-udno!

Stoi przed biurkiem zmartwiała, przerażonym wzrokiem odprowadzając znikającą za drzwiami łysinę szefa.

— Znowu... na bruk, nędzę, poniewierkę i upokorzenia... znowu...

Zawirowało jej w głowie. Usiadła, kurczowo ściskając dłonie rękoma.

— „Któż to w drzwi moje kołaczę? Dzień dobry, nędzo, nie straszaś mi wcale...“ Och, straszna, jak straszna! Zna ją już dobrze i wie, co to jest głód, taki zwykły, zwierzęcy głód, ściskający kiszkę, aż do ukazania się czarnych i czerwonych plątków przed oczyma. Głód... Przesuwają się jej przed oczyma obrazy tak niedawno przeżytych, okropnych dni bezrobocia.

* * *

Widzi się na ulicy: przed nią na wystawie piętrzą się wianki kielbas, leżą szynki, świecące warstwą białej słoniny, chleb... Ach! nie wytrzyma już dłużej! Rozbije szybę i weźmie, lub tu z tego drağa przed sklepem zerwie kuropatkę i, drąc garścią pierze, zatopi zęby w czerwonym surowym mięsie.

Szybkim, gwałtownym ruchem odwraca się, potrącając dwie panie, wchodzące do sklepu, i niemal biegnie przez ulicę.

— Ósma godzina — kolację jedzą. Wpadnie, niby przechodząc. Poczęstują z pewnością, to tacy dobrzy, gościnni ludzie!

Zdyszana staje na drugim pięttrze i dzwoni. Cisza. Wyszli... Nie będzie jadła! — Dzwoni drugi raz. Och, przecież... Słyszać kroki.

Otwiera sama pani.

— A, jak to pocziwie z pani strony... Właśnie siedzę sama. Mąż poszedł na sesję, dzieciom dałam kolację o siódmej i wyprawiłam do teatru z...

Słyszy tylko melodyjny szmer jej głosu. — Już po kolacji... już... nie będzie jadła. — Wchodzi do eleganckiego, zacisznego saloniku. Na stolczku przed kanapką widzi pudełko cukierków i talerz z pomarańczami. Robi się jej ckliwo w ustach i czuje, że blednie, że krew ucieka jej z głowy, zostawiając przeraźliwą pustkę.

— Co się pani stało? Jakże blade! Niechże pani siada. Co to — osłabienie? Wina przyniosę.

— (Na czczy żołądek.) Nie, nie... dziękuję. To przejdzie. Schody mnie męczą. (Kłamię.) Serce... doktor powiedział... (Kłamię.)

— Trzeba się leczyć, panno Jadwigo. W tych czasach, kiedy się tylko nerwami żyje... Może pomańczę?... Każę podać herbatę, napije się pani? Dobrze?

Pije wolno herbatę drobnymi łykami, rozkoszując się zaczynającym ją przenikać ciepłem.

— Proszę... cukierki. Pani lubi, pamiętam. Jakby przeczuwając, że pani przyjdzie, kupiłam dziś... Wyborne są te daktyle i migdały osmażane...

Chrupie je wolniutko, wysysa, żuje chciwie, długo... Rozmowa toczy się dokoła spraw społecznych. Pani Wanda jest gorliwą społeczniczką i sumiennie spełnia podjęte zadania.

— Jabym drogą panią zasadziła też do roboty. Drugi żłobek zakładamy, potrzeba opiekunki.

— (Jakie mięsiste są te daktyle...) Ja z przyjemnością, tylko właśnie staram się o posadę i nie wiem, jakimi godzinami będę mogła rozporządzać.

— Nie ma pani pojęcia, jaka nędza panuje!.. Świeżo, na przykład, opowiadano mi taki fakt...

Patrzy na opowiadającą, starając się przybrać wyraz zainteresowania i przyjęcia.

— Rzeczywiście... no...

— Z głodu... rozumie pani? Przecież to straszne!

— Straszne...

Wychodzi. Całują się we drzwiach ze szczerą sympatją. Schodzi ze schodów. Na zakręcie staje i zaczyna się śmiać cicho, bezgłośnie, tak serdecznie, aż jej łzy płyną z oczu.

* * *

Codzień staje przed kantorem „Kurjera“, odczytując ogłoszenia. Błyska jej złudna nadzieja. Pędzi zadyszana, drżąca, czy jej kto nie ubiegł.

Wchodzi do sklepu z konfekcją damską. Usłużny subjekt podbiega natychmiast.

— Co pani każe?

— Czytałam, że tu potrzeba panny sklepowej...

Subjekt cofa się. Po chwili z drugiego pokoju wychodzi pryncypał.

— Pan ogłaszał... — Serce jej bije głośnie, niespokojnie.

— Gdzie pani pracowała dotychczas?

— W biurze Z. i R... Gdyby pan zechciał... choć na próbę... — Wyrazy ledwo jej przechodzą przez gardło.

— E, my wykwalifikowanych ekspedjentek możemy mieć na kopy. W tych czasach! Kaucja wymagana 200 złotych.

Obraca się do niej plecami i mówi coś do subjekta.

Chwilę patrzy na niego, wreszcie wychodzi cicho.

— „Bona - nauczycielka do dwojga dzieci... Utrzymanie 140 zł. miesięcznie...”. Trzecie piętro od frontu, schody wysłane czerwonym dywanem, elektryczność, winda. Pokojówka w białym fartuszku otwiera jej drzwi.

Och, żeby ją przyjęli! Boże, Boże!..

Szelest sukni. Pani wysoka, przystojna, mierzy ją badawczym, zapytującym spojrzeniem.

— Państwo poszukują do dzieci nauczycielki...

— A... (Spojrzenie od stóp do głowy). — Hm... warunki podaliśmy w ogłoszeniu. Proszę o świadectwa.

— Mam patent z 7-miu klas...

Pani podnosi brwi. — Ależ ja mówię o świadectwach z poprzednich posad.

— Byłam biuralistką, ale uczyłam dzieci brata, umiem...

— Pani daruje, my szukamy wykwalifikowanej bony-nauczycielki.

* * *

Jest głodna. Tak strasznie głodna, że o niczem innym myśleć nie może. Wlecze się do mieszkania i pada w palcie na łóżko. — Och, Boże, Boże!... — Błądzi wzrokiem po pokoju. Patrzy na fotografię zmarłych rodziców. Nie czuje nic, tęsknoty, smutku, — zdaje się jej tylko, że jest tym bezpańskim psem-włóczęgą, którego wszyscy kopią i odpędzają.

Sprzedawała już wszystkie swoje cenniejsze rzeczy. Nie ma już nic.

Siada przed biurkiem i zaczyna szperać po szufladach. Może znajdzie co jeszcze. Drżącymi rękoma, przez łyzy, przerzuca papiery. W głębi szuflady leży już tylko czarne płaskie pudełko. Medal brązowy z głową Napoleona i papier zżółkły... świadectwo, a pod nim książeczka służbowa... Pułk piechoty linjowej... Saragossa, Berezyna, Lipsk, Waterloo...

Sklada wszystko z powrotem. Zamyka szufladę wolno... ociężale...

* * *

Świętokrzyska. Przechodzi całą ulicę, przystając przed wystawami antykwariatów. Dochodzi do Nowego Świata i wraca. Na rogu Szkolnej decyduje się.

Stary, siwy żyd gada z dwoma młodymi, nie zwracając na nią uwagi. Czeki cierpliwie.

— Co pani chce?

Podaje mu pudełko bez słowa. Żyd podchodzi do okna, ogląda, wzrusza ramionami.

— Co to warte? Medal... Ja tego mam już trzy „sztuki“.

— Napoleoński...

— Oj-wa! Żeby to złoty, srebrny... Wiszą tu takie... o!

— Tanio sprzedam.

— Ile?

— 15 złotych.

— Żadne gadanie.—Oddaje jej pudełko.

Młody żydek, przypatrujący się jej dłuższą chwilę, szwargoce coś.

— Pięć złotych dam, no...

* * *

Biuro Komitetu pomocy dla bezrobotnych. W ciemnej sionce ścisk, zaduch, kłótnie. Woźny wpuszcza ją do kancelarii.

Trzy urzędniczki siedzą przy biurkach. Z gromadki interesantów coraz to wywołują kogoś.

Niesmiało podsuwa się do pierwszego z brzegu biurka.

— Co tu mówisz? Przy tylu ludziach... Jak zacząć? Łzy dławia ją w gardle.

— Pani do kogo?

— Chciałam... z panią przewodniczącą...

— Wyjechała, wróci za tydzień. — Urzędniczka patrzy na nią badawczo. — Może pani przedstawi swoją sprawę sekretarce komitetu? Zaraz przyjdzie.

Siada w kącie na krześle. Do uszu dobiegają jej z za drzwi podniesione głosy.

— Moja pani, nic na to nie poradzę. Niema miejsca, to trudno. Zkądże wziąć, kiedy całe schronisko zapchane?

— A to co ja z niemi zrobię, co? — krzyczy rozszalony, zapłakany głos baby. — Troje dzieciaków! Potopię je, czy jak?!

Do kancelarii wpada szybko młoda panna i, zdejmując po drodze kapelusz i rękawiczki, znika w bocznych drzwiach. Po chwili wychodzi już bez palta.

— Jest kto do mnie?

Urzędniczka wskazuje ręką. — Pani chciała się widzieć z panią sekretarką...

Szybkie spojrzenie ogarnia podnoszącą się postać petentki.

Chwila wahania i sekretarka otwiera drzwi do boczego pokoju: — Proszę.

Siada na wskazanym sobie krześle i milczy.

— Pani pierwszy raz? O cóż chodzi?

Wyjąkuje z trudem wyrazy.

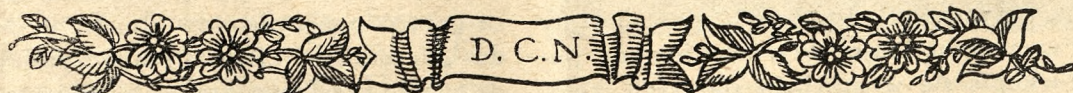
— Aha... Zawód pani?... Odkąd bez zajęcia?...

Z czego się pani dotychczas utrzymywała?...

— Tak... Pani się do nas nie kwalifikuje. Powinna się pani udać do Tow. Pomocy dla inteligencji, ulica...

— To tam dostanę... obiady?... Odrazu...?

— O, tak odrazu pani nie załatwią! Zawsze kilka dni upłynie.





Wlastimil Hofmann — „Dziewczyna wiejska“

WITOŁD BUNIKIEWICZ

WLASTIMIL HOFMANN

(W 25-lecie twórczości).

Wystawa w Salonie Garlińskiego.

Wlastimil Hofmann urodził się w Pradze czeskiej w roku 1881.

Ojciec jego był czechem, a matka—polką, pochodzącą z Żółkwi w Małopolsce.

Rodzice jego, osiedli stale w Krakowie, uradzili, że Wlastimil ma być wychowany na czecha, starszy zaś brat—na polaka.

Miała to być polsko-czeska unja, przeprowadzona w kochającej się i przykładnej rodzinie.

Artysta opowiada o sobie:

— Czulem się wtedy czechem i uczyłem się z zapalem dziejów Ziżki i Husa, a z całej historii ucieszyła mnie najwięcej wiadomość, którą wyczytałem w jakimś podręczniku, iż wraz z królem Władysławem walczyli pod Grunwaldem moi rodacy.

Patryjotyzm czeski trwał w mej duszy do 17-go roku życia i nie opuszczał mnie nawet wtedy, gdy znalazłem się w gronie uczniów „Ecole des Beaux Arts“ w Paryżu, w pracowni Leona Gerôma.

Pamiętam, gdy jako „nouveau“, pomalowany na całym ciele w misterne krajobrazy, usiadłem na podium i miałem wkupić się w przyjaźń starszych kole-

gów odśpiewaniem hymnu narodowego mego kraju. Zacząłem więc z przejęciem: „Kde domov muj“.

Po kilku miesiącach przyszła jednak w duszy refleksja.

Ojczyzna mego ojca wydała mi się piękną lecz obcą, albowiem uczucia łączyły mnie z Polską i wydało mi się niedopomyślenia, bym mógł wyrzec się Krakowa, Wisły i Wawelu, gdzie spoczywają prochy mej duchowej przeszłości. Przyznam, iż dusza moja młodzieńcza przechodziła ciężką i niezrozumiałą dla innych walkę. Po wielu zatrutych dniach i nieprzespanych wśród rozważań nocach, zdecydowałem:

Jestem Polakiem!

Niejednokrotnie na tle pochodzenia Hofmanna przychodziło do nieporozumień, lecz zawsze je wyjaśniał artysta w sposób bardzo zdecydowany; w czasie zaś wojny światowej, gdy zarząd muzeum w Pradze postanowił zakupić dwa jego obrazy do zbiorów narodowych, uważając go za czeskiego malarza, a prasa gorąco popierała ten projekt — napisał Hofmann do „Narodnich Listu“, najpoczytniejszego wówczas dziennika czeskiego, list, w którym prosił, aby go „za-



Władimir Hofmann—„Polska Madonna”

wsze uważano za polaka, pomimo, iż urodził się w Pradze”.

I istotnie twórczość Hofmanna związana jest najściślej z polską kulturą i polskim krajobrazem.

Ten odrębny, a nawet egzotyczny ton wyczuła doskonale krytyka cudzoziemska, podnosząc stale w malarstwie Hofmanna sentyment ściśle polski.

Przedewszystkiem zaś uderzały obrazy, mające za tło pobożność i wiarę ludową.

Chrześcijaństwo polski ma swój odrębny ton i otacza szczególnym kultem Matkę Bożą i Dzieciątko.

Dusza polaka wzdrygała się przed misterjum Męki Pańskiej i szczególną pozją otoczyła Boże Narodzenie i Madonę.

Nawet Chrystus z polskiej Męki Bożej cierpi tak po ludzku i tak pokornie, że wydaje się raczej udęczonym moralnie prostaczkiem, niż torturowanym Panem nad Pany.

Tę nutę polskiej religijności wyczuł Władimir Hofmann tak, jak żaden przed nim, ani po nim malarz polski.

Podobnie jak ekstatyczne pieśni Sarbiewskiego, sławiące Marię Pannę i Dzieciątko Jezus, są niedoścignionym dotąd wyrazem religijności w polskiej poezji, chociaż pisał je autor po łacinie, tak religijne obrazy Hofmanna stanowią najdoskonalszy wyraz polskiego chrześcijaństwa w plastyce.

A na tle sztuki ogólnoeuropejskiej ten ton jest tak odrębny, iż wzbudza nietylko zainteresowanie, ale wnosi akordy nowe, dotąd nieznanne, które znakomicie wyczuła bardzo wstrzemięzliwa dla cudzoziemców krytyka paryska, stawiając Wł. Hofmanna

w rzędzie najbardziej godnych uwagi współczesnych mistrzów „dont le nom restera à la postérité”. A te głosy nie były odosobnione, lecz pojawiły się spontanicznie zarówno w prasie codziennej, jak i w wydawnictwach, poświęconych zagadnieniom sztuki, gdy Hofmann wystawił w r. 1919 swe obrazy w „Salon d'Automne”, w „Nationale”, a następnie urządził swą zbiorową wystawę z 30 płócien w Galerji „Saint Honoré”.

Najmilszym modelem Hofmanna jest dziecko, i to nie wypieszczone i dostatnio odziane, ale biedactwo uliczne, noszące w sobie tragedję smutku, a na grzbiecie—łachmany. Pracownia artysty jest istną ochronką, do której zbiega się uliczna dziatwa, zwabiona ogromnym kredensem, kryjącym skarby Sezamu w postaci smakołyków i zabawek. Więc gdy na dole aranżuje świetne zabawy pani Ada—żona artysty—zwana żartobliwie przez przyjaciół „famulusem”, i huczy dom od nieopisanego hałasu ciuciubabki i niczem niekrępowanej swobody przy „chowanym”—Władimir maluje w swej pracowni cykle dziecięce, snując poematy o sierotach pod krzyżami, pastuszkach, modlitewkach, o dzieciach, bawiących się ptakami, itd. Hofmanna porywa prymitywizm uczuć dziecięcych, pustota dziecięcej wiary i szczerść uczuć.

I rzadko spotyka się ludzi, którzyby potrafili zachować czar prostoty dziecięcej przy wykwiwnej kulturze ducha.

A taką właśnie jednostką jest Hofmann. Niema dla niego złego człowieka i niema złego modelu.

Nawet w bandycie, który go przyszedł „zamordować” i okraść w samotnym domu pod Krakowem, gdzie mieści się jego pracownia, dopatrzyl się tyłu szlachetnych rysów, iż jak wieść niesie, próbował się z nim zaprzyjaźnić i zrobić mu „na pamiątkę portret”; ale bandyta nie miał zrozumienia dla sztuki, a przyjaźń przerwała się skutkiem interwencji pani Ady i policji, która „w dobrym człowieku” rozpoznała notorycznego opryszka, zbiegłego z więzienia.



Władimir Hofmann—„Pierwsza pieśń”

Osobliwym kultem otacza Hofmann kobiety.

Tworzy ją na podobieństwo swych marzeń i ozdabia aureolą poezji, widząc w niej wcielenia dobra, szlachetności i anielstwa.

Do modelek nie ma zresztą artysta osobliwszego szczęścia, wydaje je bowiem zamaż, w obawie, aby się „nie zmarnowały w życiu“, bo słyszał nieraz i czytał, iż są źli ludzie na świecie, a wśród nich znajdują się także i złe kobiety. Tak jak przystało szczeremu i prawdziwemu artyście, który wie, iż jest tylko pokornym narzędziem, przez które przemawia Bóg, objawiając ludziom radość z piękna i do-



Wlastimil Hofmann: Z cyklu „Ojczyzna“

bra — nie ubiegał się Wl. Hofmann ani o żadne zaszczyty, ani odznaczenia. Za czasów akademickich otrzymał z rąk swego mistrza Malczewskiego srebrny medal, raz zastanawiali się członkowie Akademii Krakowskiej, czy nie przyznać Hofmannowi nagrody za „Madonnę ze szpakiem“, ale zdecydowali, że należy obdarzyć Mehoffera za „działalność całego życia“; przed kilku laty o-

trzymał artysta propozycję do objęcia katedry w Akademii sztuk pięknych w Pradze, ale wymówił się od tego zaszczytu, gdyż „nie wyobrażał sobie życia bez Polski, a malowania—bez Krakowa“.

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Festival muzyki francuskiej. Dziesięciolecie śmierci *Klaudjusza Debussy*.

Ludziom można wmówić, że pewne współczesne utwory muzyczne są piękne, wzniosłe i pełne polotu, a kto ich nie rozumie, nie powinien zdradzać się nawet z taką ignorancją, brakiem odczucia artystycznego i starczym zacofaniem—można wreszcie na tak przygotowanym gruncie budować historię muzyki współczesnej, przedstawionej dla potomności w najlepszym świetle. Oczywiście, jednostronnie i z zastrzeżeniem, że te zamki na lodzie, czy domki z kart—przetrwają swoich propagatorów.

W każdej gałęzi sztuki nowy kierunek opornie wywalcza sobie stanowisko, torowane przez zwolenników postępu, a gaszone przez niechętnych mu konserwatystów. Gdyby nie było w sztuce wiecznie ścierających się poglądów — nowego tworzywa, kosztem dawniejszego, prawicy i lewicy, artystycznych umiłowań — nie byłoby w niej życia. Nie było takiego prądu w sztuce, który w jakimkolwiek okresie byłby przyjęty przez wszystkich z jednakowym zapałem. Jednakże z odległości czasu oceniano należycie wartość danego kierunku, który po okresie swojej ewolucji, sztucznie nieraz podtrzymywanej, sam niejedno-

krotnie decydował o swoim istnieniu — albo przekreśleniu. Sięgnijmy choćby do okresu w sztuce, niebardzo odległego od naszej epoki, który jednakże możemy już oceniać zdaleka. Secesja, we wszystkich swoich przejawach, nie zostawiła ani miłych wspomnień, ani nie ugruntowała swego stylu na podstawach, mogących mieć dla przyszłości choćby najmniejsze znaczenie.

Muzyka współczesna nasuwa często analogiczne porównania. Przygotowuje się dla niej grunt zręczną organizacją, dobrze zrobioną reklamą i odpowiednią propagandą; nastroja się publiczność na ton uroczysty, koncertowi nadaje się barwy narodowe i charakter galowy; poczem wykonany program pozostaje w stosunku do przygotowań—jak mysz do góry—albo raczej, jak karykaturalna postać tego, co nam w kwiecistej formie reklamy szczerze obiecywano.

Festival muzyki francuskiej, z częściową dyrekcją Artura Honeggera, głównego pioniera współczesnego dźwięku, nasunął na ten temat poważne refleksje. W programie figurowały nazwiska: Florent Schmitt, Roussel, Ravel, Honegger. Interpretowane utwory,

pomimo właściwego francuzom świetnego opanowania techniki orkiestrowej i subtelnej, szlachetnej bardzo instrumentacji — przeszły bez szczególnego wrażenia, jako przeważnie bezbarwne i monotonne. Największe zainteresowanie budził Honegger, autor znanego nam z poprzednich lat utworu „Pacific“ i psalmów oratoryjnych p. t. „Król Dawid“; kompozytor bardzo zdolny, którego talent promieniował z najśmielszych pomysłów muzycznych i tem samem już decydował o wartości Honeggera, jako twórcy. Jednakże zdolności kompozytorskie, rzucone na pastwę nowoczesnych ambicji, musiały z czasem paść ofiarą niezrozumiałej, a więc niepożądanego dla szerszego ogółu, muzyki. Mieliśmy najlepszą sposobność stwierdzenia tego przykrego faktu podczas interpretacji „Concertina“ na fortepian i orkiestrę, oraz utworu „Chant de joie“. Niewiadomo, co miał na myśli Honegger, pisząc dla Concertina part fortepianowy, będący udziałem jego żony; to jednak jest pewne, że przeprowadzenie tej koncepcji nie miało nic wspólnego z warunkami fortepianu wobec orkiestry i, na odwrót, nie obowiązywało orkiestry względem fortepianu, czyli, że w tym utworze, o niewyętej inwencji, jeden part może się obywać bez drugiego i bez wzajemnej szkody. Jeśli chodzi o „Chant de joie“, kompozycja ta jest zaprzeczeniem nie tylko pieśni, ale i radości; w przykrych postępach kakofonicznych, w których jedynym jaśniejszym momentem są refleksy wagnerowskie (utwór pochodzi z dawniejszych), daje się odczuwać nużąca ogromnie monotonia rytmiki i motywów.

Ale publiczność polska, znana z galanterji, przyjęła francuskich gości uroczyście, nawet owacyjnie, mimo, że zagranicą nie obowiązuje taka etykieta, a nawet niezadowolenie objawia się... gwizdaniem. Jednakże, mimo wszystkie uprzejmości, karesy, lansady i reweransy, muzyka ultrawspółczesna pozostawia u słuchaczy wrażenie jeśli już nie karykatury dźwiękowej, to rzeczy zupełnie niepotrzebnej, niemającej nic wspólnego z pięknem, a tembardziej z odpoczynkiem duchowym, który jest właściwym celem świata tonów.

Dziesięciolecie śmierci Klaudjusza Debussy (1862 — 1918) uczczono w Filharmonji koncertem, na którym wykonano fragmenty z jedynej opery tego kompozytora, nieznanego zresztą w Warszawie: „Pelleas et Melisande“, a mającej za sobą już przeszło ćwierćwiecze życia.

Debussy był pierwszym, który zerwał ze starym systemem tonalnym i twórczością swoją rzucił pomost ku nowej erze, a wprowadzeniem egzotycznych tonacji wschodnich nadał muzyce nieznaną dotąd, świetną kolorystykę. Może w użyciu pentatoniki, właściwej tylko ludom Wschodu, wyprzedzili Debussy'ego rosyjscy nowatorowie: Borodin i Mussorgski; ale w twórczości ich sporadycznie tylko dźwięczały echa sąsiedniej Azji, gdy francuski impresjonizm oparł swój system tonalny o bezpółtonową grę wschodnią. Poza

wprowadzeniem nowej formy muzycznej, miał Debussy tę zasługę, iż wyzwolił muzykę francuską z wpływów niemieckiego klasycyzmu, stworzył jej nowy kierunek, który, mimo ogólny bezgraniczny kult dla wagnerowskiego genjuszu, zajął w muzyce europejskiej naczelną miejsce.

Koncert ku czci Debussy'ego odbył się pod dyktando Mateusza Glińskiego. P. L.

Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY

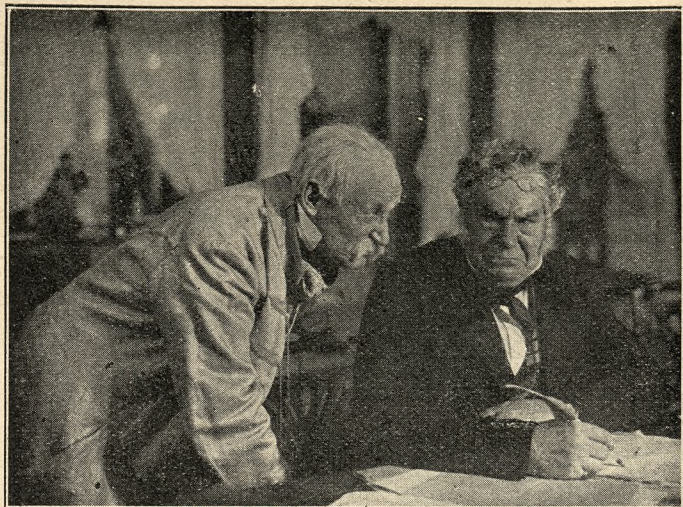
„Wielki człowiek do małych interesów“ — komedia w 5 aktach Aleksandra Fredry. Reżyserja L. Solńskiego, Dekoracje Wincentego Drabika.

Jeżeli o naszych wieszczach romantycznych można powiedzieć, że mieli cudowny instynkt wielkości i bohaterstwa, to u Fredry odnajdziemy ten sam instynkt zniekształcony we wklęsło-wypukłym zwierciadle karykatury, jako megalomanię. Genjalnie wyuczuta mierność, upstrzona wszystkimi piórkami snobizmu, na szczytach chorobliwej ambicji przechadza się po komedjach Fredry, jak zapustna maskara po uciesznym teatrum śmieszności ludzkich.

Pod tym kątem widzenia „Wielki człowiek do małych interesów“ urasta do miary figury nieśmiertelnej, która może się stać tragicznym szkodnikiem, jeśli się dotknie spraw publicznych. Newroza czynu, gorączka organizowania, febra sanacji, niezdrowa żądza znaczenia i przewodzenia, wcielona w marionetkę Jowisza prowincjonalnego, pokutuje jeszcze do dziś dnia, jako blade widmo anachronistycznych nałogów, po naszych urzędach i stowarzyszeniach.

Fredro nie lubił upiórów. Jego „Wielki człowiek“ jest hałaśliwym bakiem, puszczone w ruch w ciasnym kółku płytkich, codziennych, pospolitych zainteresowań natury materialnej lub matrymonjalnej. W buczeniu tego wirującego straszidła grają wszystkie tony narodowej melodji, którą w kilkadziesiąt lat później wytwornie i po francusku ochrzcił Sienkiewicz mianem „l'improductivité slave“. Tylko podczas, gdy Płoszowski ma wszystkie zadatki na to, aby być czemś, ale jest niczem przez brak woli, — Jeniakiewicz fredrowski chce być wszystkim, nie mając po temu żadnych danych, prócz wysokiego o sobie samym mniemania i ślepej ufności zapatrzonych w niego, jak w słońce, ziemiańskich gawronów.

Jedną jest tylko osobka, która z tego olbrzyma na glinianych nogach nic sobie nie robi i kładzie go na łopatki wrodzonym kobiecym sprytem i nieco hałaśliwą energją. To Matylda, z której Gromnicka zrobiła sympatyczną garsonkę w biedermyerowskim kostjumie prababek. Zresztą, i ona, i Aniela, i kręcące się koło nich młokosy, to nasi dawni dobrzy znajomi ze „Ślubów Panieńskich“, trochę tylko jakby zmatowani pyłem zapomnienia, co się zresztą zdarza starym da-



Frenkiel i Gawlikowski w „Wielkim człowieku do małych interesów”

gerotypom, no i o ileż bledsi od swoich prawzorów! W tym samym stosunku stali wszyscy niemal wykonawcy drugorzędnych ról do Frenkla. On jeden trafił we właściwy ton fredrowskiej komedji.

Reszta artystów błąkała się mniej lub więcej szczęśliwie po nieznanym terenie. Justjan straszył niewiadomo poco ponurą maską ibsenowskiego pastora, Solarski miotał się po scenie, jak parobczak, a młody Frenkiel był sobą tylko w stanie absolutnej bezradności. Musiała być wielka w tamtych okolicach posucha na kawalerów, a panna Aniela doszczętnie widać straciła nadzieję na lepszego konkurenta, skoro zdecydowała się na Dolskiego w tak łzawej interpretacji!

Są u nas wprawdzie jubilaci, którym daleko jeszcze do emerytury z talentu i temperamentu, ale zdarzają się i tacy artyści, którzy zamłodu już grają, jak emeryci.

Na tem mozaikowanym tle aktorskiem odcinał się przedziwnie wyrazistą sylwetą Gawlikowski w roli Ignacego. To nie była kreacja, to był żywy człowiek. Stary, poczciwy ekonom—zrzęda, któremu się mówiło „jegomość” i który wszystkie sercowe tajemnice panienek i paniczów znał na wylot.

I wiedział lepiej od samego dziedzica, jak trawa rośnie.

S. P. O.

TEATR LETNI

„Panna z dobrego domu” — krotchwila w 3 aktach *Wincentego Rapackiego* (syna). Reżyserja *Jana Janusza*. Dekoracje *A. Aleksandrowicza*.

Jeszcze nie przebrzmiały oklaski po węgierskiej sztuce „Nie ożenię się”, jeszcze nie zdążono wywieźć Teatru Letniego z pseudo moralnej papryki, którą sownie przygotowano matrymonjalny gulasz, zakrojony na wyposzczone apetyty cnotliwych mam, cioć, babek, dziadków i tatusiów, szukających niezawodnej recepty na wydanie córki zamąż—aż tu zno-

wu zatrzęsła się stara drewniana buda od beztrioskiej burzy komunałów, grających w ciuciubabkę po mieszczkańskich salonikach i lamparcich apartamentach.

Podobno to, co ma żyć w poezji (w danym wypadku chodzi tylko o farsę) musi wprzód umrzeć w życiu. Wiadomo, że tak zwana „podwójna moralność”, ta sama, której swego czasu po mistrzowsku podstawiła nogę Zapolska, jest skazana na wymarcie. Może dlatego tak gorąco oklaskiwano w ostatnich dwóch sztukach... nieboszczyka. Pomoże mu to tyle, co umarłemu kadzidło. Ale zawsze trochę w nosie zakręci i mile połechce zachwiany autorytet męski.

Osią, około której obraca się akcja obydwu fars, jest nieśmiertelny problemat małżeństwa. Powiedzmy ściślej: złapania męża. Na łąso, na wabia, na cnotę, na kokotę,—wszystko jedno, aby tylko sympatycznego łobuza zawlec do ołtarza i nie dać mu się opamiętać przed ślubem. Cel uświęca środki. Wszystkie sposoby i sposobiki są wskazane tam, gdzie zdobywa się tego, który do końca życia (lub do znalezienia szczęśliwego następcy) ma utrzymywać nadobną dzierlatkę. Bo przecież o to legalne utrzymanie przedewszystkiem chodzi...

A w takiej grze, gdzie stawką jest całe życie, a przynajmniej to, co się za dawnych dobrych czasów nazywało cnotą i opinią kobiety, ileż to ujawnia się niewyzyskanych talentów strategicznych! Jak na wielkich manewrach! Niedaleko szukając, weźmy ten rozkoszny numer, tę Hanię, tę „pannę z dobrego domu”. Cóż to za bajeczny materiał na „wesołą damę”! Nie dlatego, że co chwila woła aż do mdłości: „pychał mołowy kawał!” ale że tak szyko oswaja się z metodą nabierania na kawał rozmaitych usługowych Izydorków, przegrywania cudzych pieniędzy, tańczenia w nieswojej sukni, jednym słowem — z tą całą atmosferą życia i używania na rachunek mężczyzny, tego głupiego pocziwca, który lubi być okłamywanym i za to kłamstwo najhojniej płaci.

Mówią, że kobieta rodzi się albo kapłanką domowego ogniska, albo amazonką, albo heterą. Rozkoszna Hania, którą poprostu rozsądza temperament, ma wszystkie warunki na ten ostatni typ. Aż żal, że się to biedactwo marynuje przy skromnej matce i zdziwaczałej ciotce! Miejmy nadzieję, że jej „przedślubna” eskapada przyda się jej i w małżeństwie, i że szczęśliwy pan Jerzy zapłaci z grubym procentem grzeszki kawalerskie.

Przeziłą Hanią była pani Gorczyńska. Fertner, Kurnakowicz i Chaveau zbierali zasłużone oklaski. Akt drugi (wieczorynka z baletniczkami) miał ten pieprzyk, który pociąga publiczność farsową. Sztuka jest dostatecznie życiowa i w samą miarę głupia, aby się podobała. Córki, które chcą zastosować w praktyce niezawodny system panny Hani, nie powinny na tę sztukę swoich matek prowadzić. Poco gorszyć biedactwa? Lepiej niech trwają w romantycznych złudzeniach!

RZECZ NAJWAŻNIEJSZA

A iż Cię nie opuszczę...

Rozdział życia zamknięty. Niezależnie od tego, czy zamknięciem stał się szpaler tradycyjnego orszaku, a w następstwie podróż do kolorowych krajów — czy też skromniutkie studenckie przyjęcie w ciasnym pokoiku — jasnym jest, że nowy tytuł należy wypisać na następnej stronicy.

Z miłości, czy też z opartego o rozsądek przeświadczenia, że dwie złączone ścieżki dadzą w wyniku jedną równą drogę — oto jest się we dwoje.

Związki z miłości najskwapliwiej wyciągną ręce po uczciwie wysłużone szczęście: „być razem“! W kalendarzu życiowym nie będzie już dni wyczekiwań — czy przyjdzie — dni, kolejno znaczone czarnymi lub czerwonymi godzinami, w zależności od wzmagania się i opadania nadziei. Bezpowrotnie odpadły dni czarne, całkowicie zbyteczne, kiedy świat zdawał się pusty — wyjechał — a godziny toczyły się wolno, jak głązy, wbrew najgorętszym życzeniom, by przewiały plewą na wietrze. I te — czerwone — dni, razem spędzane, także odeszły: bo jakże coś, co jest codzien może zachować niespłowiały świąteczny koloryt?

Miejsce łomotu serca, jakim wygłodzone uczucie od wieków się zwykło odzywać na bicie oznaczonej godziny, odgłos kroków, lub widok znajomej sylwetki, zastąpił szereg spokojnych pewności. Wyszedł, ale wróci o 3-ej — napewno będzie o 8-ej — po powrocie zastaną go w domu (oświetlone są okna domów, zamieszkałych we dwoje). Niezawodnie wspólnymi stały się godziny odpoczynku po pracy, do niedawna pod przymusem samotne, najprawdziwsze godziny istnienia.

To właśnie — jest się we dwoje — stało się kwintesencją zmiany, promieniującej szczęśliwością oblicza.

Zarazem, niby przeciąg z uchylonego okna, w życie wszedł niedostrzegalny prąd niepokoju. Coś, jakby się zamieszkało w salonie, lub przed obiektywem kodaka. Okazuje się, że dolegliwa samotność poprzedniego okresu miała niektóre — ach, bardzo nieliczne, niemniej jednak dobre strony. Obojętnem było, jaką twarz ukaże lustro od rana. Ślady irytacji, goryczy, lub przemęczenia mogły się na niej zaznaczyć bez obawy, że je ktoś, niech czułem, niech kochającym, ale właśnie dlatego — badawczym — okiem dostrzeże. Mniejsza o ruch niedbały, jakim się po powrocie z zajęcia zrzucało pantofle, by zmienić je na nieco już sfatygowane, domowe; o linję, w jaką się postać, zmęczona fotelem, ułoży, o szczerbę na przypadkowym spodku do herbaty, o program dnia, posłusznie dostosowany do ekskluzywności przelotnego kaprysu.

Dowolność godzin, płynna swoboda duchowych i cielesnych poruszeń, są to rzeczy, bezpowrotnie zostawione na drodze. Nieodstępny obiektyw kochających źrenic, wiecznie chciwych każdego życiowego przejawu tej drugiej — nareszcie w grunt bezpośredniej bliskości przesadzonej, istoty — zobowiązuje.

Jakże tu ukazać tym oczom, podświadomie inkwizytorskim, rzeczy in statu nascendi, niedojrzałe, niedokonane, do poziomu niedociągnięte? Bylejakość twarzy, ubrania, czy ruchu, przypadkowość słowa, niepomysłany, pierwszy lepszy postępek?!

Skończone z linją najmniejszego oporu, według praw ciężenia niezmiennie wdół prowadzącą. Konieczność ciągłej postawy na baczność, w nieświadomej duchowej kokieteryj poczęte dążenie ku polepszeniu, same tylko strone, w górę pnące się ścieżki pozostawia nienawykłej jeszcze do tej dyscypliny organizacji duchowej. Naglącą się stała potrzeba zmobilizowania wszystkich władz do utrzymania zdobytej pozycji.

Niedopuszczyć do utraty najmniejszego kawałka zawojowanych regionów tej drugiej istoty. Woskiem czujnej przemyślności zalepić najmniejsze szparki, które mogłyby się ulotnić drogocenne kadzidło uczucia. Dać z siebie to maximum doskonałości, którego nieświadomie ta druga strona pożąda i do którego ma prawo, ze wszystkich najświętsze, miłości. Utrzymać w niej przeświadczenie, że wybrała najlepiej, że trafiła na źródło, z którego będzie biła woda wieczyste żywa, że związek zawarty okazał się tym właśnie jedynym...

Mozaika skomplikowań codziennych nabrała wartości i wagi. Dawniej niedostrzegalne i błahe sprawy: czytanie, rozmowa, posiłek — krok, ruch, brzmienie głosu, nasiąkły imperatywną koniecznością obliczeń. Koniecznością, odbiegającą jaknajdalej od utilitaryzmu wyrachowania, mającego zawsze na celu dać jaknajmniej — wziąć jaknajwięcej. Wręcz przeciwna buchalterja życiowa przemówiła władczością nakazu. Dawać najwięcej. Dawać prócz tego najmądrzej, z przeświadczeniem, że tym właśnie sposobem otwieramy sobie u drugiej istoty nieograniczony uczuciowy kredyt — na życie.

Znów dochodzi do głosu symfonia drobiazgów, wysunięta zostaje potrzeba koordynowania najbliższych szczegółów.

Przyrządzenie tej, czy innej potrawy. Pójście (osobno, czy razem?) na spacer. Ułożenie programu wieczoru (wolałabym poczytać, lepiej jednak pójść do teatru). Przytłumienie radości, żeby nie zadźwięczała zbyt głośno (nie wporę). Arytmetyczny rachunek słów ze ścisłą redukcją zbytecznych. Pohamowanie chęci do zwierzeń w nieodpowiedniej godzinie roboty. Sztuka cierpienia osobno, żeby nie dorzucić komuś ciężaru. Wszystko to urasta nagle do rozmiarów zadania. Nadewszystko zaś — sztuka uczenia niedostrzegalnymi wszystkich tych ćwiczeń du-

chowych—zdjęcie z nich wszelkiego pozoru wysiłku, by proces przystosowywania, broń Boże, nie przybrał postaci niesmacznego „męczeństwa“.

Rzecz jasna, że tylko z miłości może wyrosnąć dostateczny zasób dobrej woli, regulującej podjętą robotę. Jedyne miłość może uczynić tę duchową gimnastykę źródłem nieustannego zadowolenia, nie tylko pokrywającego konta ciągłego wysiłku, ale opłacającego je z nawiązką t. zw. harmonją pożycia. Miłość, która stworzyła konieczność skomplikowanego procesu zżywania się, sprawi, że pójdzie on łatwo, a owocować będzie radośnie.

Tylko takie zestrojenie dwóch istnień w jednym łożysku życiowym może stać się niezawodną podwaliną do mu. Domu, w którym można mieć dzieci. Domu, w którym można będzie umierać.

Wanda Borudzka.

TYTUŁOMANKI

Przynoszą mi zaproszenie na raut. Lista gospodyń: szereg nazwisk arystokratycznych (pisze się je dziś bez tytułów), zamaskowanych pod mężowskim imieniem: — Władysława, Kazimierzowa etc. — dyskrekcja przesadna, zacierająca indywidualne oblicze kobiety. Obok jednak śmiało wydzierają się z karty: inż. Amelja N. dr. Anastazja N. 1, dyr. Zofja N. 2, red. Janina N. 3, pułk. N. 4, nac. N. 5.

Same utytułowane! Czyżby kobiety, pracujące? Czyż tyle mamy pań dyplomowanych inżynierek i doktorek, tyle kobiet na stanowiskach samodzielnych: redaktorek, naczelniczek, dyrektorek? Nawet w armji—dotąd nie słyszeliśmy o tem — zajmują stanowiska generałów i dowódców pułku?!

Ale nie! To nie ich dyplomy — nie ich stanowiska, nie ich praca i zasługa! To cudze piórka, w które stroją swą nicość — to trofea „zdobycznego ptaka“ — męża.

Byle notatka w gazecie: Odbyło się posiedzenie takiej, czy innej instytucji. Przewodniczyła pani dyrektorowa X, sekretarowała pani majorowa X 1, przemawiała pani doktorowa X 2, etc.

Sygnal telefoniczny:

— Tu mówi inżynierowa Drogomostowska...

— Dzień dobry kochanej pani! przy telefonie majorowa Szabelkiewiczowa...

Tak same o sobie mówią tytułomanki! Zdaje się człowiekowi, że ma do czynienia z pustym słowem, na którym przez pomyłkę naklejono cudzą etykietę... Miluchne panie! Bez tytułu mężów wogóle—nie byłoby wiadomo, co za jedne jesteście. Śnać same z siebie jesteście zerami, nie przedstawicie żadnej społecznej wartości...

Trochę mi żal kobiet, które tak się ośmieszają. Czy robią to przez niewolniczą „miłość dla męża“,

aby jemu zrobić przyjemność lub reklamę? — zdaje mi się, że są na to lepsze sposoby. Mężczyźni wprawdzie lubią dźwięk tytułów,—niektórzy nawet i pstrokaciznę orderów,—ale nie można odmawiać im tej zabawy, czy nasycenia ambicji, skoro mają potemu słuszne, nabyte własną pracą lub zręcznością, prawa. Ale mają je tylko dla siebie.

O ile zgadzają się łaskawie lub skwapliwie na uzurpowanie tych praw przez żony — to w poczuciu ich niższości indywidualnej, na którą spływa wysoki splendor męskiego geniuszu.

Czyż bowiem fakt prowadzenia wspólnego gospodarstwa, a niekiedy przytem i dobrego pożycia małżeńskiego, kilkorga wspólnych dzieci, etc.—czyni żonę współwłaścicielką uniwersyteckich tytułów męża? Czy uprawnia ją do przyodziewania się, niby karnawałową szmatką, prestiżem jego urzędowej godności i stanowiska społecznego?

Nadużywanie tytułu męża, aż do mistyfikacji włącznie (jaką są skróty, w rodzaju: inż., dr., dyr., gen.), są społecznie zwykłym przywłaszczeniem, a w stosunkach towarzyskich—błagą, budzącą niesmak!

Dlaczego to pani, wchodząca do salonu, ma być przedstawiana, jako „radczyni Y.“, a klientka—w sklepie z obuwem każe odsyłać sobie paczkę nie do p. Z., lecz do p. „województwa Z“?

Na zebraniu towarzyskiem w sferach wojskowych, gdzie „szacunek hierarchji“ posunięty jest bodaj najdalej — zdarzyło się, iż przy jednym ze stołów kasyńowych siedziały same panie pułkownikowe i generałowe, osobno zaś zupełnie—porucznikowe, do których, broń Boże! nie byłaby się przysiadła żadna kapitanowa, ulokowana z równymi sobie...

To obserwacje autentyczne, codzienne — a jakież tanie efekty i jak tandetne! Posługują się nimi kobiety — jedne dlatego, że tylko tytuł męża pokrywa ich nieortograficzną korespondencję, i pustkę serca i mózgu, i wątpliwe manjery — inne zaś poprostu z bezmyślności—bo tak robi Lala i Wala, więc musi zrobić taksamo Lula i Zula. Ogłaszają światu—od salonu do sklepiku—jak mało mają skrupułów i delikatności wobec własnych, drogich mężów...

I są śmieszne... śmieszne!...

Zwłaszcza w porównaniu z kobietami, które posiadają własne stopnie i dyplomy naukowe, które same zdobyły stanowiska i godności, są rzeczywistymi doktorami, prawdziwymi inżynierami i dyrektorkami, i nie wykluwają tem oczu bliźnim, a zwłaszcza nie usiłują imponować tytułami zasłużonemi i należnemi im słusznie — na terenie życia towarzyskiego, na którym falanga snobek podtrzymuje ten obyczaj, bezapelacyjnie zatruwający głupotą przyjemność i wdzięk kulturalnej zabawy.

Cóż, bowiem, może być za wymiana myśli między panią, która nie może na chwilę zapomnieć, że jest „pułkownikową“, a panią, która musi pamiętać, że jest „mecenasową“?

SEZON WIOSENNY W SPORCIE

Skończył się już okres pracy zimowej, — z zamkniętych sal gimnastycznych szeroką ławą wypłynie zastęp naszych sportsmenek, śpieszących tłumnie po nowe zwycięstwa, rekordy i nagrody. Zaroją się boiska od różnokolorowych spodenek lekkoatletek, na wiślanych falach osady kobiece rozpoczną żmudną pracę do walki o palmę pierwszeństwa, na kortach tenisowych ujrzymy zgrabne sylwetki miłośniczek „białego sportu”.

Ogrody i parki rozbrzmieją gamą radosnego śmiechu dziecięcego; wiosna i słońce zbudzą do życia uśpioną przez zimę młodość, i cały zapas nagromadzonej energii przejawia się w dążeniu do ruchu, walki, współzawodnictwa i zwycięstwa. Biada tym, co nie były czujne, co dały zbyt długi odpoczynek mięśniom, pozwoliły sobie zapomnieć o rywalkach! Wiosna się zbliża — jeszcze słońce zbyt mocno nie grzeje, boiska nie zdążyły się zazielenić, a już niewiasty wołane są „na start”, do zmierzenia swych sił i zdania egzaminu z pracy zimowej.

Sezon lekkoatletyczny rozpoczął się wiosennym biegiem na przełaj dnia 1-go kwietnia. Konkurencja ta, wprowadzona u nas dla kobiet dopiero od roku, jest jeszcze nowością i budzi u wielu strach i obawę. Dystans półtora kilometra wydaje się za wielki na wysiłek kobiecy, wczesny termin zawodów nie pozwala na przeprowadzenie racjonalnego treningu na świeżem powietrzu. To też dotychczas z dwóch przewidywanych biegów w roku ubiegłym — wiosennego i jesiennego — odbył się tylko pierwszy przy udziale 10-ciu zawodniczek. Do jesiennego biegu zgłosiły się tylko dwie zawodniczki, a ponieważ była to konkurencja o Mistrzostwo Polski, w której musi brać udział minimum trzy kluby, — bieg się nie odbył. W Anglii, w okresie wiosennym i jesiennym, co niedziela są urządzone towarzyskie biegi na przełaj; bierze w nich udział kilkanaście lub kilkadziesiąt zawodniczek, a Anglicy uważają, że nic tak nie kształci płuc i serca, i że niema lepszej zaprawy do późniejszych biegów na bieżni. Trasa biegu na przełaj powinna być bardzo urozmaicona: po drodze muszą się znaleźć rowy do przesadzania, płoty do przechodzenia, krzaki, przez które trzeba się przedzierać, i tym podobne przeszkody; — bieg nie jest wtedy wyczerpujący, wymaga dużo zręczności, i pomysłowości, nie nuży jednostajnością, a ponieważ odbywa się w polu, w najczystszej powietrzu, — jest bardzo zdrowy.

Rozgrywki gier sportowych już też nie za górami. Związany niedawno Związek Gier Ruchomych energicznie zabrał się do pracy; — kwiecień i maj mają być wykorzystane przez kobiety dla rozgrywek okręgowych, poczem nastąpią Mistrzostwa. Pierwszy to raz w tym roku niewiasty staną do walki zespołowej, gdzie nie indywidualne zdolności i pojedyncze wy-

ćwiczenie będzie grało główną rolę, ale wspólna, zgrana praca, przemyślana akcja napadu i obrony całej drużyny. Należy powitać z żywą radością dojskie do skutku rozgrywek gier sportowych, gdyż dotychczas kobiety brały udział jedynie w meczach towarzyskich, mało zazwyczaj budzących zainteresowania i niezbyt emocjonujących. Tytuł mistrzowskiej drużyny Polski, a nawet swego Okręgu, jest bardzo przyciągający i warto się o niego ubiegać. Zorganizowany w Warszawie na jesieni turniej hazeny o puchar Stadjonu dał dużo korzyści realnych: niewiasty w klubach zaczęły tworzyć sekcje gier sportowych i trenować zapamiętale. Niestety! wczesna zima przerwała i turniej i trening na świeżem powietrzu. W ciasnych salach gimnastycznych trudno było marzyć o wydoskonaleniu się w grach, wymagających przestrzeni. To też teraz z tęsknotą oczekuje się ciepła i wyjścia na boisko, by móc należycie się przygotować do zwycięstwa.

Dla kobiet przewidziane są rozgrywki w Warszawie w następujący sposób: hazena i siatkówka od połowy kwietnia; koszykówka i piłka ręczna — od maja. Najwięcej drużyn kobiecych uprawia hazenę. Jest to gra, przewieziona do nas z Czech, gdzie ma tysiące zwolenniczek; wpływa ona doskonale na ogólny rozwój fizyczny, a ze względu na łatwy przebieg, nadaje się dla kobiet. Drużyna hazeny składa się z 7-miu pań, gra trwa 2 razy po 25 minut. Koszykówka, mało dotychczas uprawiana przez kobiety, wymaga prócz sprawności fizycznej dużo inicjatywy i pomysłowości, a także opanowania techniki wrzucania piłki do kosza przeciwnika. Wymaga ona dużo pracy, ale jest jednocześnie doskonałą zaprawą do wszystkich gałęzi sportu; ilość graczy i wielkość boiska jest mniejsza, niż przy hazenie, a więc łatwiej można ją ćwiczyć zimą w sali gimnastycznej. Piłka siatkowa znajduje najwięcej zwolenniczek u młodzieży szkolnej; jest to najmniej skomplikowana gra, nie wymagająca przygotowania fizycznego. Opanowanie równomiernie strony technicznej przez wszystkich grających podnosi bardzo stronę estetyczną tej gry. Wymaga mało przestrzeni i dzięki temu może być grywana we wszystkich szkołach zimą, gdyż nawet niewielka salka nadaje się do tego w zupełności. Drużyna piłki ręcznej składa się z 12-tu graczy i jest w przepisach zbliżona do piłki nożnej, z tą różnicą, że piłkę podaje się ręką. Z powodu dużego wymiaru boiska jest bardzo for-

sowna.

Biegi na przełaj i gry sportowe są to pierwsze „kroki wiosenne” sportu. Wślad za nimi, a nawet równocześnie, rozpocznie się praca lekkoatletek, przygotowujących się do mistrzostw Okręgowych; wioślarzki już się szykują na Wisłę. Za parę tygodni sezon sportowy będzie w całej pełni, tembardziej, że jest to rok Olimpijady, i bronić naszych barw w Amsterdamie będziemy z całych sił!

M.

CHEMJA W KUCHNI

Niejedna gospodyni, czytając tytuł powyższy, zastanowi się, jaki związek zachodzi pomiędzy nauką tak poważną, jak chemja, a zajęciem pozornie tak prozaicznym, jak... sztuka kucharska. Pojęcie chemji łączy się raczej z pojęciem dużych fabryk, — gdzie w kotłach gotują się rozmaite tajemnicze płyny i sole, — lub też z pojęciem laboratorjów, — gdzie chemicy przy retortach i kolbach odkrywają nowe połączenia chemiczne..

A jednak... nie baczą na to, iż najcudowniejsze laboratorjum to... nasz żołądek, a fabryka chemiczna... to zwykła kuchnia, gdzie przyrządza się codzienną strawę... Do zrozumienia procesów chemicznych, jakie odbywają się w kuchni potrzebna jest nietylko chemja: — potrzebna i medycyna i towaroznawstwo, chemja rolna i technologia chemiczna.

Nie przypuszczalibyśmy, iż tak prosta z pozoru rzecz, jak sztuka kulinarna, porusza tyle poważnych nauk w celu wyjaśnienia, jakie procesy zachodzą przy przyrządzaniu pokarmów.

Surowców dla przyrządzania potraw dostarcza nam świat zwierzęcy, roślinny i mineralny.

Ciała te, dostarczone nam przez naturę, należą do rozmaitych grup chemicznych i zachowują się rozmaicie przy różnych operacjach kuchennych. Zadaniem kuchni jest umiejętne połączenie tych wszystkich surowców i takie ich przygotowanie, aby organizm łatwo mógł je sobie przyswoić, oraz by te produkty nie utworzyły w organizmie szkodliwych, względnie niestrawnych wytworów.

Nie jest obojętne, w jakiej postaci przyjmuje organizm różne pożywne substancje. Np. wiadomem jest, iż mózg, nerwy i kości człowieka zawierają fosfor, — a więc i do odżywiania fosfor ten jest potrzebny. Jedzenie jednak, np. fosforowych zapalek zupełnie się nie przyczyni do wzbogacenia naszych myśli i naszego kośćca, — może tylko wywołać... interwencję lekarza.

Taksamo wiadomem jest, iż bardzo ważnym składnikiem krwi jest żelazo. Jednak jedzenie żelaza, np. w postaci opiłek, wcale nie powiększy ilości krwi, ani nie polepszy jej jakości i t. d.

Przedewszystkiem powinniśmy zastanowić się nad bardzo prostym pytaniem, a mianowicie: Na co się człowiek odżywia?

Przez całe życie człowiek wykonywa pracę. Nietylko praca zawodowa, — ale nawet wszelkie czynności życiowe, jak np. oddychanie, obieg krwi, bicie serca, chodzenie, trawienie — również są pracą, bo wymagają zużycia pewnej siły, i nawet oddech, bicie serca i złączony z tem obieg krwi dokonuje się w nas mimowolnie, — a nawet i podczas snu. Wskutek pracy organizm traci siłę, oraz pewne substancje użyteczne, — odżywianie wyrównuje te straty.

Rozważania nasze musimy rozpocząć od poznania składu chemicznego naszych pokarmów, — oraz zmian, jakim wczasie przygotowania pożywienia ulegają.

Drugą część tematu — jaki jest los pokarmów w organizmie — narazie pominiemy.

Zasadniczą funkcją naszego organizmu jest oddychanie. Za każdym wdechem połykamy pewną ilość powietrza a za każdym wydechem — wydzielamy zużyte gazy. Jak się to dzieje?

Jak wiadomo, powietrze jest mieszaniną dwóchgazów: — tlenu i azotu, z których tlen jest w mniejszości (około 20%) azot zaś stanowi 80%. Dlaczego? Oto oddychanie samym tlenem jest tak szybkie i energiczne, iż krew nasza, a zarazem i wszystkie części organizmu naszego, które, jak wiadomo, zawierają przeważnie pierwiastek — węgiel, — spaliłyby się bardzo prędko. W organizmie więc ciągle tlen z powietrza, w bardzo małej ilości, łączy się z węglem krwi — wywołując słaby wzrost temperatury, gdyż normalnie temperatura ciała człowieka wynosi około 37° C. Gazem, który człowiek wydycha, jest azot, oraz t. zw. dwutlenek węgla — gaz, powstały z węgla i tlenu. Widzimy więc, iż ten najważniejszy proces oddychania jest analogicznym do palenia w piecach.

Możemy się nawet o tem przekonać zapomocą doświadczenia. Weźmiemy w usta rurkę szklaną i drugi jej koniec zanurzymy do czystej wody wapiennej (woda, zawierająca odrobinę rozpuszczonego wapna gazowego i precedzona); w miarę, jak będziemy powietrze wydychali, — woda zmętnieje, utworzy się węglan wapna, — czyli wydychany dwutlenek węgla połączy się z wapnem.

Drugim materiałem, bez którego organizm nasz obejść się nie może — jest woda. Pobieramy ją — czy to w stanie płynnym, jako wodę i trunki, jak wino, piwo i t. d., które głównie się z wody składają, czy też zawartą w pokarmach stałych (ziemiaki np. mają 75% wody). Woda jednak, jako ciało chemicznie czyste — t. zw. woda destylowana — jest dla organizmu wprost szkodliwa; zato woda źródłana lub studzienna orzeźwia organizm i pobudza jego czynności, skutkiem zawartego w wodzie tlenu, kwasu węglowego, oraz różnych soli mineralnych. Głównie zawiera woda sole wapna i częściowo magnezji; — wody, zawierające dużo tych soli, nazywamy twardemi, — a wody, zawierające małą ilość tych soli, względnie niezawierające ich wcale, — miękkimi. Gotowanie wody twardej zamienia ją w miękką, a dzieje się to z tego powodu, iż wapno wydziela się, jako nierozpuszczalny węglan wapnia, — wskutek czego tworzy się osad, który można oddzielić. W wodzie, pierwotnie wziętej, znajduje się wapno w postaci t. zw. dwuwęglanu wapnia, — soli, rozpuszczonej w wodzie. — Sól ta wydziela po ogrzaniu kwas węglowy i przechodzi w obojętny węglan wapnia, który w wodzie się nie rozpuszcza. Z tych zjawisk korzystamy bar-

dzo często w gospodarstwie: np. herbata potrzebuje do zaparzenia wody miękkiej, więc wodę twardą należy przegotować. Można też wodę twardą zmiękczyć przez dodanie szczypty t. zw. sody oczyszczonej (dwuwęglan sodu). Rośliny strączkowe np. muszą się gotować bardzo długo, i woda twarda trudno je rozgotowuje, gdyż węglan wapna osadza się na jarzynie, i dostęp gorącej wody jest zahamowany, a oprócz tego wapno łączy się chemicznie z „leguminem“, zawartym w roślinach, w ciało nierozpuszczalne, woda przeto musi być zmiękczona—najlepiej sodą.

O ile rury wodociągowe są z ołowiu, to osadza się na nich węglan ołowiu, zwłaszcza gdyby woda, prócz twardości, zawierała dużo kwasów organicznych (np. próchnicowych, w pobliżu bagnisk) — mógłby ołów częściowo rozpuścić się w wodzie, wskutek czego woda stałaby się szkodliwą.

W codziennych warunkach jednakże nie powinniśmy się tego obawiać, gdyż woda wodociągowa przeważnie nie zawiera kwasów organicznych.

Parę chwil uwagi musimy też poświęcić materiałom, z jakich zrobione są naczynia kuchenne. Są, jak wiemy naczynia gliniane, kamionkowe, porcelanowe i metalowe. Naczynia nie mogą być używane niepolewane. Przy naczyniach glinianych, kamionkowych, fajansowych lub porcelanowych, z tego powodu, iż glina przesiąkłaby gotowanymi potrawami, i trudne, względnie nawet niemożliwe byłoby odmycie, oraz części potraw, wsiąkłe w materiał naczynia, psułyby się, wytwarzając szkodliwe produkty. Polewa jest zwykle krzemianem sodu; powłoka ta robi się w ten sposób, iż przy wypaleniu takich naczyń sypie się do pieca, gdzie wypala się naczynia, sól, która w wysokiej ciepłocie pieca rozkłada się i łączy z krzemionką, zawartą w glinie—wskutek czego tworzy się krzemian sodu. Naczynia metalowe również muszą być polewane (przynajmniej żelazne i miedziane). Żelazne przeważnie dla tego, iż mogłaby się wytworzyć rdza, będąca połączeniem szkodliwym dla zdrowia, — oraz potrawy nabrałyby smaku nieprzyjemnego (smak żelaza). Miedziane znów naczynia nie mogłyby być w stanie niepolewanym użyte do gotowania jakichkolwiek jarzyn o charakterze kwaśnym (np. kapusta, również nie można w nich przechowywać kwaśnego mleka). Kwasy rozpuszczają miedź — a związki chemiczne miedzi są trujące. Polewa naczyń żelaznych i miedzianych składa się z krzemianów boru, cyny i ołowiu. Związki ołowiu są trujące—dlatego też potrawy, zawierających kwasy (j. wyż.), lepiej nie gotować w takich naczyniach. Zresztą można bardzo łatwo sprawdzić, czy polewa zawiera ołów. Należy w naczyniu zagotować ocet, a potem spróbować, czy ocet ten zawiera ołów. Dodaje się mianowicie do tego octu parę kropel t. zw. wody siarkowodorowej (dostać można w aptece pod nazwą „aqua hydrosulfurata“). Wrazie obecności ołowiu, utworzy się czarny osad.

(d. c. n.)

Inżynier Tadeusz Ingwer.

ODŻYWIANIE W JADŁODAJNIACH

Wszyscy, zmuszeni do stołowania się poza domem,—a tych są, szczególnie po wojnie, kiedy własne mieszkanie z kuchnią jest niedoścignionym ideałem, całe legjony, — narzekają na niesłychaną monotonię jadłospisów, nie tylko w restauracjach, lecz i na tak zwanych obiadach prywatnych. Na kartach restauracyjnych figuruje wprawdzie kilkanaście, a czasem nawet kilkadziesiąt dań, lecz jeśli spróbujemy obstałować coś poza sznycel, befsztykiem, kotлетem wieprzowym, lub dyżurną cielęcą, baranią, wołową, lub wieprzową pieczeńią,—to usłyszymy sakramentalne „zabrakło“, lub też narazimy się na godzinne, lub dłuższe wyczekiwanie, zanim dane kurczę uśmiercą, oprawią i upieką, lub też rybę sprawią i ugotują, czy usmażą. Jeszcze gorzej jest z jarzynami. Jarzyna—poza kartofelkami, marchewką, buraczkami i kapustą, przygotowanymi odrazu w ogromnych garach, pozbawionymi wszelkiego smaku, podawanymi jako garnitur do każdego mięsa zupełnie bezmyślnie i bezkrytycznie, niezależnie od tego, czy smak jej się zgadza ze smakiem ugarniowanego mięsa, — jest uważana za fantazję i zbytek. Nawet kartofelki, smażone na surowo, słomki lub drażone są uważane za dodatek wykwinny, a jeśli w garniturze jakiegoś sznycła znajdzie się łyżeczka od herbaty konserwowanej fasolki zielonej lub groszku,—jadłodajnia będzie siebie uważała za pierwszorzędną instytucję gastronomiczną. Jeśli chodzi o oddzielne danie jarzynowe, to jesienią można wszędzie dostać kalafjor, sakramentalnie „po polsku“, to jest z masłem i bułeczką,—wiosną tak samo przyrządzone szparagi—obie jarzyny w cenie całego obiadu z czterech dań conajmniej.

Jeśli poprosić o smażone pomidory, kelner przygląda się gościowi z przerażeniem, jakby go posądzal o zboczenie umysłowe i odpowiada, że może dać tylko sałatkę pomidorową, sos pomidorowy i zupę pomidorową. W zimie poza groszkiem z puszki i fasolką z puszki można dostać jakąś jarzynę, zwykle znowu kalafjor, lub konserwowane szparagi, po cenie swojej wagi w złocie, tylko w najbardziej renomowanych restauracjach. Salsefja, bulwa włoska, kapusta brukselka i włoska — zupełnie dla panów restauratorów nie istnieją; karczochy i kardy spotyka się zrzadka na jadłospisach restauracyj, uczęszczanych przez cudzoziemców, i także na wagę złota. Z legumin po długiej liście różnych szumnie brzmiących nazw, w praktyce znajdujemy kosztowną i kunsztowną „Melbę“, ciastka cukiernicze i kompot, najczęściej z konserwowanych owoców.

Dotąd mówiłam o jadłospisach dużych restauracji; jeżeli przejdziemy do skromniejszych jadłodajni i obiadów przy kawiarniach, rzeczy się mają dużo gorzej jeszcze. Dwie zupy: jedna—dziwnie wodnista

rosół, druga—krupnik, barszcz, kapuśniak lub grochówka, zawsze z charakterystycznym klejowym posmakiem zbyt mocno wygotowanych kości; sztuka mięsa z kartoflami lub ogórkiem, jakaś siekanina; kotlet, zraz, klops, i nakoniec nietyle pieczona, co jakoś dziwnie duszeniem smaku pozbawiona pieczeń, której zresztą od trzeciej południu stale brak. Do mięsa dwie sakramentalne jarzyny: z nich jedna nieodmiennie kartofle z wody lub tłuczone, druga—kasza, makaron, buraki, marchew lub kapusta. Legumina: ciastka cukiernicze, zwykle kilkodniowe, gdyż amatorów na ten przysmak mało. Gdzie gości więcej,—kompot: jesienią śliwkowy, zimą—jabłeczny, wiosną—rabarbarowy. Można oszaleć z tej jednostajności, bo już nie wspominam o sposobach przyrządzania tych „powszednich” posiłków! A o tem dużo, dużo dałoby się powiedzieć! Przedemną leży artykuł jednego z bardzo znanych kuchmistrzów polskich, autora książki kulinarnej, przeznaczonej dla specjalistów i traktującej o kuchni wykwińskiej i międzynarodowej. Artykuł ten, wyglądający na formalny akt oskarżenia i nadający się raczej do wręczenia prokuratorowi, niż do ogłoszenia na łamach pism,—jest wynikiem trzyletniej obserwacji różnych drobnych jadłodajni. Przepisy, w nim podane i podobno stosowane często, są wstanie zohydzić raz nazawsze jedzenie klasycznych garkuchnianych potraw. Jako curosium, jeden z nich dosłownie przytoczę.

Pieczonka rzymska: Dwa kilo różnych odpadków mięsnych, gotowanych, pieczonych, surowych, zmielone na maszynie; do tego dodane trzy cebule, pięć kilo odpadków i ułamków chleba i bułki, połączone kartoflaną mąką i surowymi, tartymi kartoflami, żeby się mieszanina trzymała, upieczone i polane sosem. Sos się robi z tłuszczu, zebranego z patelni po każdym smażeniu, zaprawia mąką, papryką i pomidorami. Oskarżyciel dodaje od siebie:—pod względem odżywczym nie daje konsumentowi korzyści żadnej, jest jałowa, nawpół surowa i łatwo sprawić może zaburzenia żołądkowe. Przy rocznem odżywianiu się — katar żołądka pewny. Sos pali i zmusza do picia, często sprawia ból żołądka. Ładny obrazek, nieprawdaż? — Pozostają obiady prywatne.

O ile są wydawane przez dobre gospodynie i przyrządzane przez umiejętne kucharki, — co ma zwykle miejsce w pensjonatach i domach inteligencji — pod względem świeżości i dobroci produktów obiady takie nic nie pozostawiają do życzenia. Pozostaje jednak nużąca monotonia jadłospisów. Też same pięć, czy siedem zup, powtarzających się co tyleż dni z matematyczną dokładnością; też same cztery gatunki pieczeni plus ryba smażona w piątek, zrazy w sobotę i, latem, kurczęta w niedzielę. Dwie jarzyny, które przeważnie nie są jarzynami, bo przecież kartofle we wszelkich postaciach, makaron, różne kluski i najróżnorodniejsze kasze i ryż są potrawami mącznymi.

Nieco lepiej jest z leguminami,—często są one i dobre, i smaczne,—znowu jednak stały stołownik wie zgóry, że w piątek będzie kisielek zórawinowy, w niedzielę krem czekoladowy, a w jakąś środę, czy inny wtorek—budyń z bułki z szodonowym sosem. Kiedy pytałam właścicielki i kierowniczkę tych uczciwych jadłodajni, czemu nie wprowadzają większego urozmaicenia w posiłkach—odpowiadały mi wszystkie jednoznacznie, że winną jest tylko sama ucześniejąca na nie publiczność. Każda najmniejsza zmiana, każde nowe, mniej znane danie jest przyjmowane niechętnie, czasem wrogo nawet. Jeśli zamiast ciężkich, mącznych dodatków wprowadzić lżejsze jarzyny — klienci mówią, że są głodni; jeśli zamiast dwóch mięs, jedno z nich zastąpić rybą, lub potrawą z jaj, pytają: jaki to post dzisiaj?—Zgodni są tylko pod jednym względem: — protestują przeciwko każdemu danu, w którego skład wchodzi mięso siekane. I tutaj zupełnie nie mają racji. Tam, gdzie kuchnia jest uczciwie prowadzona, siekanina smacznie, ze świeżych produktów przyrządzona, jest przyjemnem urozmaiceniem, a wiele dań siekanych, jak kura cała faszerowana, kotleciki siekane z kury, bitki z młodej baraniny z sosem Soubise, zrazy siekane, duszone w pomidorach, i wiele innych—są wybornymi smakołykami.

O ile każdy spożywca powinien stanowczo unikać wszelkiej siekaniny w niepewnych jadłodajniach—wogóle wszyscy klienci takich instytucyj powinni solidarnie zastrejkować i nie brać siekanych dań, czem zmuszą przedsiębiorców do wykasowania ich z jadłospisów, — o tyle tam, gdzie wiedzą, że w kuchni są używane tylko dobre produkty, mogą z całym zaufaniem jakiś raz na tydzień spożyć smacznie przyrządzony klops, zraz, lub kotlet siekany.

Znany reformator sztuki gotowania, paryski profesor dr. Pomian-Pożerski, który całą sztukę gotowania sprowadza do pięciu zasadniczych czynności: gotowania, smażenia, duszenia, pieczenia i emulsjonowania, — sprowadził też w jednym ze swych wykładów dietetykę odżywiania się do trzech rodzajów tylko: Od roku 14 do 25 człowiek musi stosować dietę mięsną, czyli jeść przeważnie mięso, i to przy każdym posiłku. Od roku 25 do 50 winien stosować dietę mieszaną: jarzyny, owoce, mąkę, nabiał i mięso — to ostatnie raz na dzień tylko. Po 50 roku życia człowiek winien przejść na dietę jarską wyłącznie.

Otóż pytam się, gdzie taki pięćdziesięcioletni człowiek, pozbawiony kuchni domowej, a nie mający dostatecznych środków, aby płacić pięć złotych za porcję konserwowanego groszku z grzaneczką, lub siedem złotych za kalafior z maselkiem, może się odżywiać? Przeważnie tacy panowie — gdyż panie zaradniejsze ratują się maszynką gazową, naftową, lub nawet spirytusową — są zmuszeni jadać jajecznicę, czy inne jaja na miękko, lub po wiedeńsku i codziennie kluseczki lane na mleku, aż do zupełnego obrzydzenia sobie jaj i mleka. Tymczasem w interesie swoim

i gości restauracje mogłyby wprowadzić do swych jadłospisów parę dań jarskich, smacznych i urozmaiconych, na które miałyby chętnych zawsze amatorów.

Nawet najskromniejsze jadłodajnie, mając codziennie jakiś makaron zapiekany z pomidorowym sosem, jakieś kotlety kartoflane z sosem grzybowym, jakieś pierożki leniwe ze śmietaną, szpinak z jajami, lub inne równie proste i tanie potrawy,—miałyby mniej cudzych katarów żołądka na sumieniu. Pensjonaty zaś i osoby, wydające obiady prywatnie, powinny wprowadzeniem nowych jarzyn, narazie jako garniturów, powoli przyuczyć swoich gości do ich spożywania, kształcić ich niejako pod względem gastronomicznym, rozwijając w nich zdrowe gusta.

Pani Elżbieta.



GROCHÓWKA

Zupę tę, bardzo smaczną i powszechnie lubianą, podaję na wyraźne żądanie jednej z Czytelniczek, która twierdzi, że lubiąc ją i często spotykając, nie wie, jak ją przyrządzić.

Otóż na pięć osób należy w wigilję wieczorem namoczyć pół kilo zielonego, lub żółtego grochu w letniej, miękkiej wodzie. O ile woda jest twarda, dodać do niej na koniec noża oczyszczonej sody. Na trzy godziny przed obiadem przystawić do ognia groch, nalany świeżą, zimną wodą, nie soląc go, i dać mu się gotować wolno na brzegu blachy. W oddzielnym garnku postawić na smak pół kilo wędzonego boczku, lub tyleż golonki od szynki wędzonej, dużą marchew, takąż pietruszkę i cebulę, listek, parę ziarn pieprzu i ziela i dobrą gałązkę majeranku. Gotować, aż mięso zmięknie, a włoszczyzna się prawie rozgotuje. Gdy groch miękki, przetrzeć go wraz z włoszczyzną przez druciane sito, rozprowadzić smakiem z wędliny, zaprawić łyżką mąki, dodać łyżeczkę utartego majeranku i dopiero teraz osolić do smaku. Wędlinę ugotowaną pokrajać w kostkę i wrzucić do wazy, zale-

wając ją zaprawioną już zupełnie grochówką. Oddzielnie należy pokrajać kilka kromek białego chleba w kostkę rozmiaru laskowego orzecha, skropić je masłem i zrumienić, podsmażając mocno pod blachą. Grzanki te należy podawać na oddzielnym talerzu i kłaść do zupy na talerze już nalane, aby nie rozmiękły, gdyż muszą być chrupiące.

Dla osób, lubiących w grochówce groch cały, zupę tę gotuje się zupełnie tak samo, grochu się jednak nie przeciera, włoszczyznę ugotowaną odrzuca, a zamiast mąki wkłada do zupy oddzielnie ugotowaną kaszę perłową, lub orkiszową, dobrze rozgotowaną i rozklejoną z kawałkiem masła. Na tę ilość grochówki wziąć nie więcej nad dziesięć deka kaszy.

CIEŁĘCINA ODGRZEWANA

Pozostałą pieczeń cielęcą pokrajać na cienkie plastry, wziąć tyleż cieniuchnych plasterków słoninki od szynki gotowanej (można nabyć oddzielnie w każdej wędliniarni). Półmisek metalowy wysmarować masłem, cielęcinę ładnie na nim ułożyć, przekładając słoninką. Sos i tłuszcz, pozostały od pieczenia, zmieszać po połowie z konserwą pomidorową, lub pomidorami, przechowanymi w butelce. Gdyby tego sosu było mało—na pół kilo cielęciny bez kości trzeba około dwóch szklanek—dodać kilka łyżek rosółu. Sosem tym zalać mięso, posypać obficie tartą bułeczką, wymieszaną z ostrym serem. Położyć na wierzch parę kawałeczków masła i wsunąć na kwadrans w piec lub pod blachę. Podawać gorącą natychmiast po wyjściu z pieca. W smaku przewyższa świeżą pieczeń.

KASZKA WIOSENNA

Trzydzieści deka drobnej kaszki krakowskiej zatrzeć jajkiem, wysuszyć dobrze, ugotować na sypko, dodając sporą łyżkę masła. Oddzielnie udusić ćwierć kilo oczyszczonych i sparzonych wpraw w smardzów. Dusić je w łyżce masła, przesmażonego z drobno pokrajaną cebulką. Gdy utracą surowiznę, posolić, lekko popieprzyć, zaprawić łyżeczką mąki, dodać szklankę rzadkiej śmietany, zagotować raz tylko razem. Kaszkę zmieszać z garstką drobno usiekanego zielonego koperku, przełożyć do głębokiej salaterki. Na to wylać duszone grzybki wraz z całym sosem, którego powinno być dużo, po wierzchu znowu posypać koperkiem i natychmiast gorącą podawać.

MAKARON „MILANAISE“

1 marchewkę, 1 pietruszkę, pół selera, cały por, 3—4 pomidorów, lub tyleż łyżek konserwy—wszystko to pokrajać w cieniuchne paski i udusić z łyżką masła i 15 deka młodej słoninki, drobno pokrajanej. Oddzielnie mieć ugotowane parę wątróbek i żołądków z drobiu, lub ćwierć kilo uduszonej wątróbki cielęcej, kilka grzebyków kogucich ugotowanych, ćwierć kilo bardzo tłustej szynki i dziesiątek usmażonych na maśle pieczarek. Wszystko to pokrajać w niezbyt drobne paski. Jarzyny uduszone przefasować przez sito, zaprawić łyżką mąki, rozprowadzić rosółem mięsnym, lub jarskim do gęstości zwykłego zawiesistego sosu. Zmieszać z przygotowanymi mięsnymi dodatkami. Czterdzieści deka makaronu wło-

LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów **Dr. J. ŚWITALSKIEJ**

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Maść na łupież. „Mój krem“ tłusty i suchy, „Mój krem“ przeciw zmarszczkom „Mój puder“, Krem cytrynowy. Krem poziomkowy. Galaretka na rozszerzenie porów i łojotok. Perełki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe i liljowe. Róże higieniczne. Maski na twarz. Maść na piegi.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.

skiego ugotować, pokrajać na dwucalowe kawałki (makaron nie powinien być przegotowany), włożyć go w sos, wymieszać dobrze, zagrzać, posypać obficie ostrym serem i natychmiast gorący podawać w tem samym naczyniu.

SUCHARKI PAPIESKIE

Dziesięć jaj zważyć wraz ze skorupkami, cukru wziąć tyle, ile jaja zaważą, mąki tyleż. Żółtka utrzeć z cukrem do białości, dodawać po łyżce mąki i trochę anyżku, utłuczonego i przesianego. (Brać puder, a nie kryształ). Nakoniec dodać ubite na sztywną pianę białka i ucierać jeszcze tak długo, aż się pęcherzyki na cieście pokazywać zaczną. Wlać ciasto do długich foremek od keksów, wysmarowanych masłem i wysypanych bułeczką, upiec w lekkim piecu, jak zwykły biszkopt. Gdy ostygnie, krajać na plastry, grubości małego palca i dosuszać w letnim piecu. Nawet ciężko chorzy jeść je mogą.

RABARBARUM OSMAŻANE

Grube, najlepiej różowawe łodygi rabarbaru oczyścić z włókien, wrzucić na chwilę na wrzątek, zagotywać raz, odcedzić, ostudzić, obetrzeć płótnem do zupełnej suchości. Przed samym obiadem utarzać w mące, potem w jajku, nakoniec w tartej bułeczce. Smażyć natychmiast w obficie rozpuszczonym maśle, lub szmalcu. Obsypać obficie cukrem z cynamonem i gorące podawać.

BISZKOPT Z KREMEM ORZECHEWYM

Cztery żółtka utrzeć do białości ze szklanką cukru-pudru (kryształ, choćby najlepiej utarty, obciąża jednak ciasto), białka ubić na sztywną pianę, zmieszać z żółtkową masą, przesypując jednocześnie czterema nie-

dużemi łyżkami mąki pszennej, lub też pszennej po połowie z kartoflaną. Upiec w lekkim piecu w tortownicy, wysmarowanej masłem i wysypanej tartą bułeczką. Gdy dobrze wystygnie — najlepiej dopiero dnia następnego — przekrajać na płask ostrym nożem i przełożyć następującym kremem. Szklankę słodkiej lub kwaśnej śmietany ubić na pianę, zmieszać z pół szklanką cukru-pudru, utłuczonego z wanilią, i dziesięcioma włoskimi orzechami, oczyszczonymi z łupin i jaknajdrobniej utłuczonymi. Połową tego kremu przełożyć biszkopt, drugą połową pokryć go po wierzchu. Przed podaniem wynieść na sześć godzin na chłód, aby krem dobrze wsiąkł w biszkopt. *Pani Elżbieta.*

DOBRE RADY

Wybierając się w podróż, zawsze ma się rzeczy za dużo, a jednak trudno coś zostawić: i to potrzebne i tamtoby się przydało. Można ułatwić sobie zabranie niektórych przedmiotów, zużytkowując je praktycznie podczas drogi. Naprzykład z pleda możemy zrobić doskonałą poduszkę, wkładając go wraz z szalami w poszewkę z szarego płótna, zapinającą się z jednego boku na zatrzaski. W ten sposób rozwiązujemy przykrą kwestję nadmiernej ilości bagażu, mamy wygodną poduszkę do spania i nie potrzebujemy pozabawiać się tak pożądanym w chłodne dni letnie pleców i szali.

* * *

Cienkie koszule damskie, drące się najczęściej od góry, możemy zużytkować, jako pokrowce od kurzu. Uciawszy górę, zmarszczyć ją, związać na kokardę choćby kawałkiem używanej wstążki. Suknię powiesić na wieszadelku, haczyk od niego przeciągnąć przez miejsce, gdzie koszula związana, dobrze naciągnąć ją na przeznaczoną do przechowania toaletę i powiesić do szafy, gdzie ją zastaniemy świeżą za powrotem z wakacyj.

KOMPLETY TKACTWA RĘCZNEGO ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ
WSPÓLPRACOWNICZKĘ DZIAŁU
ROBÓT W „BLUSZCZU”.

INFORMACJE TELEFONICZNE

do g. 10-ej RANO I OD 3 DO 5 PP. — TEL. 273-34

„Napoje gorące”

SPOSOBY PRZYRZĄDZANIA KAWY, HERBATY
I INNYCH NAPOI GORĄCYCH.

Cena 1 zł. 50 gr.
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.
Za zaliczeniem nie wysyłamy.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu” — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.